NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. **Kraków, 14. lipca 1917.** **Nr. 28.**

Ofenzywa rosyjska.



Na froncie galicyjskim 1) Na pozycyi przy małej armatce. 2) W oczekiwaniu ataku gazowego. 3) Przed walką na granaty ręczne. 4) Na przedniej pozycyi, przy tak zwanej „lisiej dziurze". 5) Umacnianie zasieków drucianych przed pozycyami austro-węgierskiemi.
(Fot. Józef Wurm.)

Ofenzywa rosyjska.

Oddawna zapowiadana, lecz mało prawdopodobna ofenzywa rosyjska stała się faktem. Po długim okresie niemal zupełnej bierności, wojska rosyjskie ruszyły do szturmu, z największą zaciętością atakując front galicyjski, gdzie toczą się uporczywe walki.

O ile ofenzywa rosyjska pod względem militarnym nie przedstawia nic nowego ani szczególnie ciekawego, o tyle jest ona faktem bardzo znamiennym dla rozwoju wypadków rosyjskich.



Wizyta niemieckiej pary cesarskiej w Laxenburgu: Cesarz Wilhelm wraz z cesarzem Karolem podczas przejażdżki w parku laxenburskim.

Oba rządy prowizoryczne stanęły na stanowisku dochowania wierności sojusznikom i dalszego prowadzenia wojny wbrew potężnej agitacyi, prowadzonej przez skrajne socyalistyczno komunistyczne skrzydło t. zw. „Bolszewików“, którym przewodzi Lenin. Ta nieprzeparta niechęć do odrębnego pokoju i do zdrady sojuszników, którą objawiły nie tylko oba gabinety: pierwszy „burżuazyjny“ i drugi koalicyjny, burżuazyjno-socyalistyczny, którą podziela także ogromna większość Rady delegatów robotniczych i żołnierskich, ma swoje liczne i poważne motywy. Przedewszystkiem jednak płynie ona z niewątpliwego instynktu państwowego, który przejawiła dotąd demokracya rosyjska w swoich najwyższych kierujących sferach.

Gdy powszechnie mówiono o dezorganizacyi wojsk rosyjskich i ich niezdolności do podjęcia ofenzywy, minister wojny Kiereńskij objeżdżał front bojowy, zachęcając wojska do podjęcia kroków zaczepnych. Docierał aż do przednich linii. Wszędzie wygłaszał mowy, zachęcał, organizował, naprawiał. Wiele z tego nie udało mu się. Ale w ogólnym obrazie rezultat tej podróży adwokata i agitatora politycznego w charakterze ministra wojny przedstawiał się mimo to okazale. Całe korpusy okrzykiwały go z zapałem swoim wodzem. Olbrzymia większość komitetów żołnierskich ślubowała Kiereńskiemu bezwzględne posłuszeństwo jako — naczelnemu wodzowi. Szara masa żołnierska okazała się spragnioną jakiegokolwiek autorytetu. Kiereńskij umiał w znacznej mierze zaspokoić to pragnienie. Działał na uczucia i wyobraźnię. Większość armii wziął w moralne posiadanie i ostatecznie doprowadził Kiereńskij do tego, że machina armii rosyjskiej — zdawało się — już zupełnie unieruchomiona, ruszyła jednak z miejsca. Uparte i krwawe boje, często powtarzające się energiczne ataki rosyjskie dowodzą, że duch wojsk rosyjskich nie upadł, że rewolucya nie zniszczyła siły bojowej armii, że wreszcie armia ta jest zdolną walczyć nie tylko na rozkaz cara, lecz także z poczucia obowiązku wobec ojczyzny.

Ta moralna regeneracya armii rosyjskiej jest najważniejszym celem obecnej ofenzywy rosyjskiej. I cel ten został już niewątpliwie osiągnięty bez względu na militarne rezultaty tej ofenzywy, które wcale nie zapowiadają się świetnie, bez względu także na to, co po niej może nastąpić.

Kiereńskij miał za zadanie dowieść przed światem, przedewszystkiem zaś przed własnem społeczeństwem, że rewolucya nie oznacza — rozkładu, że Rosya, może istnieć jako państwo, także bez cara. I ten dowód niezwykły ten człowiek rzeczywiście przeprowadził. Jest to tryumfem zarówno jego, jak całej rewolucyjnej i demokratycznej Rosyi.

Ale poza tym celem moralnym — ofenzywa rosyjska ma jeszcze drugi, realny, związany z celami koalicyi. Nie ulega wątpliwości, że na rozpoczęcie tej ofenzywy wywarła znaczny wpływ koalicya, a zwłaszcza Anglia. Z punktu strategicznego jest to próba obejścia tyłów niemieckich w związku z uderzeniami ofenzywnemi na froncie zachodnim. Co leży na dnie takiego gigantycznego, okrążającego manewru? Oto dążności do ugodzenia niemieckiej siły zbrojnej w jakieś jej ważne życiowe centrum. Czyż takie centrum może leżeć w Galicyi wschodniej, na którą kierują się zacięte ataki rosyjskie? — zapyta zdumiony czytelnik. Otóż nie tylko może, lecz rzeczywiście leży. Są to kopalnie nafty, stanowiące dzisiaj jedyne źródło siły popędowej przedewszystkiem dla niemieckich łodzi podwodnych. Najskuteczniejszym środkiem przeciw łodziom podwodnym jest nie to wszystko, co rzekomo technicy angielscy i amerykańscy wymyślają w dziedzinie artyleryi, budownictwa nowych typów okrętowych i tak dalej, ale odebranie im siły popędowej. Ponieważ zaś łodzie podwodne pędzone są już to ropą, już to ben-



Wizyta niemieckiej pary cesarskiej w Laxenburgu: Przyjęcie na dworcu kolejowym. (X) Cesarz Wilhelm. (XX) Cesarz Karol.

zyną, których jedyne źródło znajduje się w kopalniach galicyjskich, przeto wystarczy odebrać te kopalnie, aby cała olbrzymia konstrukcya niemiecka obecnego okresu tej wojny, opierająca się na łodziach podwodnych, rozsypała się w proch.

Jeżeli zaś zważy się, że zgodnie z oświadczeniami Capellego, Helffericha, Wesparta, nawet samego Hindenburga, łodzie podwodne są jedyną, ale zato podobno niewątpliwą szansą ostatecznego zwycięstwa Niemiec, to można bez trudu zrozumieć, o co chodzi w tej ofenzywie. Otóż, jest ona niczem więcej, jak próbą zwalczenia łodzi podwodnych przez odcięcie ich od źródła ich siły popędowej. Tu leży cel tej ofenzywy. A trzeba przyznać, że jest on ze względu na całość zadań wojennych koalicyi ważniejszy, niż wszystkie inne cele, wynikające z położenia militarnego na wschodzie.

Tak więc rozpoczęte w Galicyi wschodniej walki są walkami o Borysław i nasze zagłębie naftowe. Wszystko inne jest tu ubocznem i drugorzędnem. Cel wielki. Osiągnięcie go, rozstrzygnęłoby wojnę już bardzo prędko.

Wizyta niemieckiej pary cesarskiej w Laxenburgu.

Sporo czasu minęło od ostatniej wizyty cesarza Wilhelma w Austryi, co dało nawet powód do przypuszczeń, że między obydwoma dworami nastąpiło pewne oziębienie stosunków, na co zwłaszcza prasa koalicyi kładła wielki nacisk.

Kłam tym wszystkim pogłoskom zadały odwiedziny niemieckiej pary cesarskiej w Laxenburgu, w dniu 6. lipca.

Na powitanie dostojnych gości, którzy przybyli w towarzystwie licznego orszaku, zjawiła się na bogato udekorowanym dworcu laxenburskim austryacka para cesarska w otoczeniu dworu.

Powitanie było nader serdeczne; obaj monarchowie ucałowali się i zamienili mocny uścisk dłoni. Cesarz niemiecki był w uniformie polowym austro-węgierskiego marszałka polnego, cesarz Karol w uniformie pruskiego.

Po wzajemnem przedstawieniu świt, monarchowie wsiedli do powozów i wśród owacyi ludności miejscowej i okolicznej odjechali do zamku laxenburskiego, gdzie na powitanie niemieckiej pary cesarskiej zebrali się najwyżsi dostojnicy dworscy. Wkrótce po przybyciu cesarz Wilhelm przyjął na audencyi ministra spraw zagranicznych, hr. Czernina, obu prezydentów ministrów, hr. Esterhazy'ego i Seidlera, wiceprezydenta Izby panów, Maksymiliana Egona Fürstenberga. Po godzinie 11 obaj monarchowie odjechali do miejsca pobytu naczelnej komendy armii, gdzie zabawili do południa, poczem wrócili do Laxenburga. W drodze monarchowie byli przedmiotem serdecznych manifestacyi. O godzinie 1 w zamku laxenburskim odbyło się w ścisłem kole śniadanie.

Odjazd niemieckiej pary cesarskiej nastąpił tego samego dnia wieczorem.

Odwiedziny te były odpowiedzią na wizytę, którą nie tak dawno cesarz Karol wraz z cesarzową Zytą złożyli na niemieckim dworze.



Wizyta niemieckiej pary cesarskiej w Laxenburgu: Cesarzowa niemiecka Augusta Wiktorya opuszcza dworzec kolejowy w towarzystwie cesarzowej Zyty.



Legiony w Królestwie Polskiem Korpus oficerski drugiego pułku piechoty w Pułtusku z podpułkownikiem Żymirskim w pośrodku.

Legiony w Królestwie Polskiem.

Wśród rozrzuconych po Królestwie oddziałów legionowych, drugi pułk piechoty stanął w powiatowem miasteczku, Pułtusku. Olbrzymie koszary, ongiś rosyjskie, stały się kwaterą wojska polskiego. Żołnierz i oficer, pojmując swoje nowe i odpowiedzialne zadanie, z zapałem zabrali się do pracy, ucząc się nie tylko nowej musztry, ale i życia koszarowego, które jest niezbędnem dla każdej armii regularnej.

To też praca wre gorączkowa, od rana do wieczora, odbywają się ustawicznie ćwiczenia i wykłady. Szkoła oficerska i podoficerska przysposabia oficerów i podoficerów dla przyszłej armii polskiej, wyrabia doskonale wyszkolonego zawodowo żołnierza, gorliwego i punktualnego w służbie.

Szereg instytucyi wojskowych i kulturalnych, jak kasyno oficerskie, biblioteka pułkowa, kantyna dla żołnierzy, chór mieszany, scena amatorska, świadczą o intenzywności pracy drugiego pułku.

W dniu 26. czerwca, dotychczasowy komendant drugiego pułku, podpułkownik Zymirski, powołany na inne stanowisko, złożył dowództwo w ręce podpułkownika Rylskiego, znanego powszechnie w Le-



Ku czci ś. p. Jadwigi z Łobzowa: Scena z „Pożegnania“ na poranku w szkole św. Anny w Krakowie.

gionach. Podpułkownik Żymirski, mimo krótką bytność w drugim pułku, zyskał sobie powszechne zaufanie i uznanie tak wśród żołnierzy, jak i oficerów, czego dowodem był bankiet pożegnalny, urządzony przez korpus oficerski drugiego pułku.

Ilustracya nasza przedstawia korpus oficerski drugiego pułku piechoty z podpułkownikiem Żymirskim w pośrodku.

Uroczystości Bożego Ciała w Królestwie Polskiem.

Po raz pierwszy, na ziemiach polskich pod okupacyą niemiecką, w uroczystości Bożego Ciała wziął udział żołnierz polski. To też wzruszający był moment dla biorących udział w uroczystości, gdy podczas podniesienia padały komendy polskie, żołnierz prezentował broń przed ołtarzem.

Z uroczystej procesyi Bożego Ciała w Warszawie zamieściliśmy już szereg fotografii w jednym z poprzednich numerów. Dziś podajemy zdjęcia z uroczystości Bożego Ciała w Kaliszu, gdzie również Legiony brały udział w procesyi. Fotografie nasze przedstawiają pluton honorowy Legionów, przed budynkiem, gdzie mieścił się Powiatowy Urząd Zaciągu, jak również procesyę koło kościoła, w której brali udział żołnierze polscy. Nadto zamieszczamy jeszcze piękny fragment z uroczystości warszawskich, mianowicie Legionistów w procesyi przed Zamkiem królewskim.





Uroczystości Bożego Ciała w Królestwie Polskiem: Procesya koło kościoła parafialnego w Kaliszu. Pluton honorowy przed budynkiem powiatowego Urzędu Zaciągu w Kaliszu.

Ze szkolnictwa w Królestwie Polskiem.

Pomimo ciężkich warunków ekonomicznych, w jakich znajduje się obecnie Królestwo Polskie, które odczuwa na sobie wszystkie okropności wojny, życie narodowe, wyswobodzone z dotychczasowych więzów, rozwija się tam coraz bujniej, nie tylko w miastach, ale i po wsiach. Ważnemi środowiskami pracy narodowej od podstaw, która dokonywa się w obecnych ciężkich czasach wojennych, są szkoły polskie, zakładane coraz liczniej na terenie Królestwa Polskiego, okupowanym przez Austryę.

Dziatwa garnie się do tych środowisk oświaty polskiej z wielkim zapałem, a ludność zarówno miejska, jak i wiejska otacza szkoły polskie i ich kierowników ogólną sympatyą. Swiadczy o tem wymownie coraz większa frekwencya dzieci w tych szkołach, które nie mogą pomieścić chętnych do nauki. Powstanie też każdej nowej szkoły — jako nowej placówki oświaty polskiej — staje się prawdziwem świętem dla całej okolicy.

Ludność bierze też żywy udział w życiu powstającego szkolnictwa polskiego, czego wyrazem były tegoroczne uroczystości zamknięcia roku szkolnego. Między innemi odbyła się taka uroczystość w Pińczowie, przy licznym udziale przedstawicieli miejscowego społeczeństwa.



Ze szkolnictwa w Królestwie Polskiem: Uroczyste zakończenie roku szkolnego 1916/17 w szkole ludowej w Pińczowie. Siedzą od lewej ku prawej ręce: Inspektor szkolny p. Taras, prezes Rady szkolnej Szczepkowski, komendant pow. płk. Mayer, starosta dr. Pawlikowski, prezydent miasta Pachelski.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

6

— A ty czegoś się tak wystroiła?! Kogóż to przyjmować będziesz?... Mogłaś się chyba mnie zapytać o zdanie. Ale ty także chcesz pewnie mieć swoją wolę!... Oto są dzieci, dla których się człowiek poświęca!...

Lola, zmieszana, zatrwożona, milczała... Dopiero po chwili ośmieliła się zapytać:

— Ja też chciałam zapytać mamusię, jakie poczynić przygotowania co do mieszkania dla...

— Co za przygotowania? Żadnych przygotowań! Wstawiło się łóżko do pokoju Konrada i koniec! Cóż to, księżniczka jakaś preyjeżdża? Zamało elegancko, zamało wygodnie nie będzie dla panny Maliniewicz!

Panieńskie nazwisko synowej wymówiła pani Żarnicka z nieopisanym wyrazem pogardy i nienawiści.

Lola nie uznała za stosowne protestować. Dodała tylko jeszcze, spoglądając na zegar.

— Ale to już czas. Za pół godziny przychodzi pociąg. Czy posłać Joasię po dorożkę?

— Po co?

— No, przecież chyba pojedziemy na kolej?

— Nie! Nie pojedziemy!

— Ani ja? Ani mamusia?

— Ani ja! Ani ty!

— Konradowi będzie przykro... — zauważyła cicho Lola.

Dziwna rzecz. Dotychczas dosyć chłodno odnosiła się do brata, teraz współczuła z nim szczerze.

Twarz pani Żarnickiej spłonęła krwistym rumieńcem.

— Przykro mu będzie!... Właśnie chcę, żeby odczuł, na co zasługuje jego postępek!... I ta... ta... niech sobie nie wyobraża czasem, że będzie tutaj w domu moim jakąś odgrywała rolę!... O! ty nie wiesz, jaka ona jest!... Co to za ziółko!...

— Skoro się Konrad już z nią ożenił...

— Więc dlatego też pozwalam jej przestąpić mój próg!... Jeżeli jednak nie będzie się jej podobało przyjęcie, to nie zatrzymuję...

— Ależ, mamo! To żona Konrada!

— E! Co tam takie „wojenne" małżeństwo, bez zapowiedzi... Jeszcze nie wiadomo, jak to będzie w przyszłości...

— No, to może posłać Joasię, żeby przynajmniej dla nich zamówiła dorożkę...

— Nikogo nie posyłać i nic nie zamawiać!... A teraz, dosyć już o tem!... Nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy! Ty wogóle za często się teraz niepotrzebnie odzywasz!

Lola przycięła zębami dolną wargę. Ciemne oczy zamigotały żywiej, jakby gniewnie czy przekornie. Panienka nie odpowiedziała jednak ani słowa i cicho wyszła z pokoju.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Hi, hi, hi! A to się „stara" wścieka, że mało ze złości nie pęknie! To ci jej synalek figlasa urządził! Hi, hi, hi!

— No co? no co? — pyta kucharka pani Żarnickiej, Magdzia, a małe, piwne jej oczy błyszczą ciekawością.

Pokojówka Joasia, zgrabna, przystojna, fertyczna dziewczyna śmieje się dalej — cicho, tajemniczo, a z nieopisanem zadowoleniem w wyrazie całej twarzy.

— To panna Magdalena nic nie wie?!... A gdzież to panna Magdalena ma oczy i uszy? Hi, hi, hi!

— Nie wiem nic, jakem żywa! Gadajże panna Joasia!... Jak się panna kręci po pokojach, to prędzej coś posłyszy, ale ja, cały dzień przy tych garnkach, żeby je pierońskie pokręciło!...

— Oj! Pokręci, pokręci! Ale chyba starą ze złości!... Żółć się w niej zapiecze!... Wie panna Magdalena, gdzie młody pojechał?!

— A gdzie?!

— Żenić się!...

— I ona o to taka zła?!... To nie po jej woli?

— A nie!... Przecie wyraźnie słyszałam przy „kolacyi" tego dnia, co młody stawał do „asynterunku", jak mówił: Muszę, mamo, teraz ożenić się z Józią!...

— Cóż to za jedna ta Józia?

— A kto ją wie!... Tylko to wiem, że pieniędzy nie ma, więc się stara uparła: „nie i nie." Perswadowała mu i tak i tak, i na jedną i na drugą stronę, i po złości i po dobroci, ale on się także uparł i powiada: „Koniecznie muszę się żenić". No i nie pytający się „starej" pojechał, a dzisiaj zatelegrafował, że z żoną przyjeżdża!... Hi, hi, hi!... A to ci, jak w „tyjatrze"...

Magdzia z wielkiego wzruszenia i zainteresowania zaczyna głośno wycierać nos.

— To on tutaj tę żonę przywiezie?

— A gdzieżby ją wiózł? Ma to on swoje pomieszkanie, albo „poszadę", albo pieniądze? Przecie stara cały majątek w łapie trzyma!...

— No to ja pannie Joasi powiem, że ja tej synowej nie „zajzdroszczę"... Urządzi ci jej stara słodkie życie, że no!...

— Będzie heca!... Hi, hi, hi!

— Pójdzie starej po nosie!...

— To go może przestanie tak zadzierać do góry, jakby ją Pan Bóg z innej gliny, niż nas ulepił. Wie panna Magdzia, słyszałam, bom ta odrobinę koło drzwi się kręciła, jak się jej Lola pytała: „podobno ta Józia bardzo ładna?" a stara na to: „to cóż, że ładna, to i nasza pokojówka Joasia — niby ja — ładna, a nie mogłaby być moją synową". Także coś! Ona myśli, że jej synalek to straszny „specyjo!" A czybym to ja chciała takiego, Panie Boże odpuść, cherlaka, co jak zmokła kura wygląda i o każdego centa matkę prosić musi!... To ci dopiero wielka parada!...

— Ma panna Joasia „recht".

— A pewnie!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Gorączkowo, niecierpliwie, nerwowo rozgląda się Konrad Żarnicki po stacyi łykowskiej. Upatruje kogoś z domu, ale napróżno. Niema nikogo: ani matki, ani Loli, ani nawet służącej. Widać tylko kilku funkcyonaryuszów kolejowych, którzy kręcą się przed budynkiem stacyjnym.

Niezbyt liczni pasażerowie wyszli już.

Pomimo chłodnego wieczoru i ostrego wiatru krople potu występują Żarnickiemu na czole.

Ogarnia go nagle trwoga przed skutkami własnej lekkomyślności. Co będzie, jeżeli...

To poczucie niebezpieczeństwa budzi w nim jednak energię i stanowczość. Nie! matka musi! Ona nie może!... Nie zrobi tego...

Z przymusowym trochę uśmiechem zwraca się Konrad do Józi, która wtuliła ręce w futrzany zarękawek i stoi spokojnie.

Nie pyta o nic, nie dziwi się niczemu, tylko głowa jej pochyliła się nizko, jak u człowieka, dotkniętego ciężkiem zmartwieniem. Wyrazu twarzy, osłonionej dosyć gęstą woalką, nie można zaobserwować.

— Widocznie mama nie otrzymała jeszcze telegramu... — mówi Konrad i stara się wysiłkiem woli opanować lekkie drżenie głosu.

— Prawdopodobnie... — odpowiada młodziutka mężatka spokojnie, ale jakoś bezdźwięcznie.

— Nic nie szkodzi... Poradzimy sobie i tak...

Żarnicki odnajduje wzrokiem posługacza kolejowego i wskazuje mu pakunki.

— Proszę to na „fiakra"...

— Proszę pana, teraz nima tak „fiakrów" na zawołanie... To chyba skoczyć do rynku... i sprowadzić...

— Proszę sprowadzić...

Posługacz oddala się. Upływa długa chwila oczekiwania, podczas której młodzi małżonkowie nie mówią nic do siebie.

Każde z nich boi się tonem głosu zdradzić swoje wrażenia.

Wiatr dmie coraz silniej i zaczynają siec drobne krople deszczu...

Stacya jest pusta, w półmroku pogrążona i cicha... Słychać monotonne kołatanie dzwonków sygnałowych.

— Miły początek... — przebiega Józi myśl.

Nareszcie zjawia się posługacz.

— Jest fiakier...

— No, to proszę prędko brać rzeczy...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy Konrad dzwonił do bramy domu, Józia zadrżała tak silnie, że nogi się pod nią ugięły i musiała pochwycić ramię męża.

— Co ci to, Józieńko?... Słabo?... Zmęczona jesteś bardzo?...

— Nie, nic nic... To już przeszło... To takie chwilowe osłabienie...

— Jesteśmy już w domu!... Wypoczniesz sobie...

W domu!... Mimowoli cichutkie westchnienie dobywa się z piersi młodej pani Żarnickiej. Gdyby to naprawdę wstępowali pod własny dach do swego domu, ale tak...

Otworzyła im bramę zaspana, otulona chustką stróżka. Na widok Konrada błysnęły żywiej jej oczy i spojrzeniem, pełnem ciekawości, obrzuciła Józię.

— A, to pan gospodarz!... Całuję rączki. I z młodą żonką!... Życzę szczęścia, zdrowia i wszelakiego powodzenia!... Żeby państwo jeszcze ze dwie kamienice takie pobudowali sobie i choć ze sześcioro dziatek w zdrowiu i pomyślności wychowali... — wygłaszała z przymilającym, obleśnym uśmiechem swoje życzenia, uwiadomiona już przez Joasię o spodziewanem przybyciu młodej pary.

Konrad mimowoli uśmiechnął się i sięgnął do portmonetki.

— Dziękuję wam, Wincentowa. A nie wiecie czy... czy... mama moja jest w domu?

— A jakże! Pani gospodyni w domu i panienka także...

— Pozdejmujcie nasze rzeczy z dorożki i pozanoście na górę.

— Już, już w tej chwili...

Józia, wsparta na ramieniu męża, wstępowała na schody tak powoli, jakby jej sił brakowało.

Kiedy wreszcie Konrad wyciągnął rękę do dzwonka, miała ochotę zatrzymać go i zawołać:

— Czekaj!... Nie dzwoń jeszcze, bo się boję...

Zawstydziła się jednak tej dziecinnej myśli i nic nie powiedziała. Nie przeczuwała, że Konradowi równie mocno i niespokojnie bije serce.

Zadzwonił.

Po chwili słychać szelest szybkich kroków i zgrzyt odsuwanego zatrzasku. Drzwi się otwierają, z przedpokoju bucha jasna fala światła. W progu stoi uśmiechnięta Joasia w świeżutkiej, jasnej bluzce, w czarnej spódnicy i białym fartuszku z szelkami.

A poza zgrabną pokojówką ukazuje się wyniosła, majestatyczna postać pani Żarnickiej.

Józi zdaje się, że serce jej w piersi zamiera. Mimowoli robi ruch taki, jakby się chciała cofnąć z powrotem ku schodom, ale Konrad chwyta żonę za rękę i pociąga ją naprzód.

— Mamo... Jesteśmy... Mamusiu, to moja żona!...

Józia czuje, że i ona coś powiedzieć powinna, ale nie może. W gardle jej zaschło.

Krótka chwila duszącego oczekiwania. Potem pani Żarnicka lekko nachyla głowę i zimnemi ustami muska czoło synowej.

Józia sztywnie, jak automat, kłoni się do jej ręki.

— Joasiu, pomóż się rozebrać młodszej pani...

Joasia zaczyna zdejmować z Józi żakiet, a matka zwraca się ku synowi...

Wita go zupełnie inaczej, niż przed chwilą młodą jego żonę... Całuje go długo, serdecznie, bez słowa...

A Konrad tuli się do niej tak, jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem, zawołanym pieszczochem...

Jest uszczęśliwiony tem, że minęła pierwsza, najgorsza chwila, że matka przyjęła Józię i oszczędziła mu upokarzającej walki.

To też duszę ma przepełnioną wdzięcznością i matka wydaje mu się w tej chwili aniołem dobroci i przebaczenia.

— Mamusiu... — szepcze — Dziękuję... Jestem bardzo szczęśliwy... Ty ją pokochasz, moją Józię, prawda?...

Pani Żarnicka wypuściła wreszcie syna z swych objęć.

— Gdzież wasze rzeczy? — zapytała zwykłym, naturalnym, spokojnym tonem — Nikt was nie oczekiwał na kolei, bo telegrafowałeś niewyraźnie, Konradzie... Nie wiedzieliśmy, którym pociągiem...

Ta wymówka, przeznaczona zresztą wyłącznie dla Józi, nie złudziła Józi, ale uspokoiła już zupełnie Konrada. Był tak wzruszony, iż zapomniał o tem, że do Łykowa z Krakowa przychodzi tylko jeden, wieczorny pociąg.

W sieni ukazała się Wincentowa, ciągnąc za sobą kufer. Joasia pospieszyła jej z pomocą.

Pani Żarnicka szybkiem ironicznem spojrzeniem obrzuciła skromne pakunki synowej, przeniosła wzrok na skromniejszy jeszcze żakiet z kołnierzem z jakiegoś bardzo taniego futerka, zlustrowała nieznacznie buciki, suknię, zarękawek i usta jej drgnęły pogardliwie.

— Gdzie Lola, mamusiu?... — zapytał Konrad.

— Jestem... jestem... — ozwał się głos siostry cieplejszem, niż zwykle, brzmieniem — Witam bratową... Przyjmijcie moje serdeczne życzenia...

Pani Żarnicka spojrzała na córkę i Lola nagle urwała.

Panienka już od dłuższej chwili wpatrywała się z prawdziwym zachwytem w bratową. Miała ona w sobie jeszcze coś z pensyonarskiej egzaltacyi dla ładnych koleżanek i nauczycielek, a Józia wydała się jej nad wszelkie oczekiwanie piękną i uroczą.

– Nie dziwię się Konradowi. – pomyślała – Ależ ona prześliczna!... Jak żyję, takich ust nie widziałam!... I jaka milutka!...

Lola chętnie pocałowałaby Józię mocno w te dziwnie ponętne, purpurowe, jak kwiat granatu, usta, ale czuje na sobie rozkazujący, przenikliwy wzrok matki, więc wita się ceremonialnie, zdawkowo...

Tylko w przelocie rzuca bratu cichutkim szeptem słowa:

– Twoja żona jest zachwycająca...

Twarz Konrada rozjaśnia się coraz bardziej.

– Czego my tutaj właściwie stoimy? – odzywa się pani Żarnicka – Chodźmy do pokoju.

Cichym, nieśmiałym głosem, którego dźwięk wnika Loli prosto do serca, powiada Józia, że pragnęłaby po podróży oczyścić się z pyłu, umyć i przyczesać...

– Ja zaprowadzę. – ofiarowała swoje usługi Lola.

Ujęła bratową lekko pod ramię i poprowadziła ją ostrożnie przez kilka nieoświetlonych pokojów.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Przy kolacyi, która, ku wstydowi i rozpaczy kucharki Magdzi, składała się tylko z zimnej cielęcej pieczeni, odgrzewanej kapusty z ziemniakami i herbaty, Józia jadła mało, a mówiła jeszcze mniej. Odpowiadała jedynie na pytania i to możliwie krótko.

Konrad spoglądał na nią chwilami ze zdziwieniem. Nie rozumiał, co się stało jego tak zwykle rozmownej, że aż gadatliwej Józi.

Przecież chyba nie onieśmiela jej do tego stopnia matka, która zachowuje się tak uprzejmie, tak taktownie.

Chcąc widocznie dać synowej możność oswojenia się z nowem otoczeniem i nową sytuacyą, nie zwraca na nią prawie wcale uwagi i prowadzi swobodną, potoczną rozmowę.

– Widocznie zmęczona bardzo, no i wzruszona – zadecydował w myśli – ale się oswoi prędko... Jakże to gładko ułożyły się rzeczy... Kochana mama!... Postąpiłem wbrew jej woli, a jednak...

Pani Żarnicka wypytuje o podróż, omawia z Konradem spokojnie szczegóły jego wyjazdu do wojska... Syn odpowiada z ożywieniem. Wkońcu przechodzą do nowin towarzyskich.

– Ale, wie mama – wtrąca nagle Konrad – czego się dowiedziałem w Krakowie?... Panny tykowskie potracą głowy!... Lolu pilnuj serduszka!...

Lola pogardliwie wzdyma blade usteczka.

– No, cóż takiego? – zapytała zaciekawiona pani Żarnicka.

– Pamięta mamusia tego Łuniewskiego z Zakopanego?...

– Ach! Ten taki przystojny, elegancki, sympatyczny... Pamiętam... No i cóż z nim?...

Lola przestaje nagle robić pogardliwe minki. Anemiczna, żółtawa cera leciutko różowieje, czarne oczy wbijają się w twarz brata.

– Przyjeżdża do naszego miasta, jako urzędnik w Centrali... Loluś, nic nie mówisz?... Przecież ta twój adorator...

Lola teraz czerwieni się mocniej i spuszcza powieki...

– Dajże spokój, Konradzie, co takiej smarkatej po adoratorach? – mówi matka, niby tonem nagany. Uśmiecha się jednak lekko i w oczach jej miga błysk zadowolenia.

– Prawdopodobnie Łuniewski złoży nam wizytę.

– Niezawodnie.

– On podobno odziedziczył wcale ładny majątek po ojcu?

– Tak mówią. Pono ma spory folwark, ale nie gospodaruje na nim, bo nie lubi wsi.

– On jest doktorem praw, nieprawdaż?

– Tak jest.

– Krewny Witaszyńskich i Malewskich – dodaje po chwili pani Żarnicka – Tak... tak... to bardzo dystyngowany i miły człowiek. Może się podobać pannie, choćby najwybredniejszej.

Lola podnosi na matkę rozbłysłe oczy, ale spuszcza je zaraz i zaczyna bardzo energicznie krajać mięso na talerzu.

Pani Żarnicka zwróciła się teraz nagle do Józi:

– Józia nic nie je? – po raz pierwszy wymówiła spieszczone imię synowej – Może jej nie smakuje, może przywykła do wykwintniejszych kolacyi?... Trudno! Teraz wojna, ciężkie czasy... Jadamy skromnie, nie możemy sobie pozwalać na zbytki...

Ostentacyjnie nabrała sobie na talerz kapusty, przyczem światło lampy krzesało w brylantach jej pierścionków snopy tęczowych świateł.

Józia zrozumiała przymówkę i zapłonęła rumieńcem.

– Jestem przyzwyczajona jadać bardzo skromnie – odpowiedziała cicho – i wszystko smakuje mi bardzo... Tylko nie jestem głodna.

– Zmęczyła się podróżą, no i pewnie trochę wzruszyła ślubem! – zawołał wesoło Konrad.

Był tak usposobiony, że wszystko chciał brać z najlepszej strony, więc i teraz w słowach matki nie tylko nie dojrzał złośliwości, ale poczytał je za dowód poufałego, rodzinnego już zupełnie traktowania jego żony.

Zaraz po herbacie pani Żarnicka podniosła się od stołu, motywując to tem, że Józia jest zmęczona i powinna się wyspać.

– Moja Lolu, odprowadź Józię, a ty, Konradzie bądź łaskaw jeszcze na chwilę zajść do mego pokoju... Wprawdzie żona pierwsza – dodaje z uśmiechem – ale mam z tobą bardzo ważne rzeczy do omówienia.

– Ależ naturalnie, służę mamusi!

Po twarzy Józi przebiega drgnienie przykrości, nie protestuje jednak, mówi świekrze „dobranoc" i odchodzi z Lolą.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Dni, dzielące Konrada od wyjazdu, mijały szybko, tak szybko, jakby każda godzina miała skrzydła.

– Już tylko dwa dni, już pojutrze! – myśli Józia z sercem, ściśniętem bólem i trwogą – Odjedzie... odjedzie... żeby choć każdą chwilę teraz wyzyskać, ale my tak właściwie mało jesteśmy razem... i sami... Nawet swobodnie pomówić nie można.

Istotnie, pani Żarnicka umiała tak zręcznie manewrować, że Konradowi bardzo niewiele pozostawało czasu dla żony. Chciał on z początku złożyć razem z Józią kilka wizyt u znajomych, ale matka mu wyperswadowała, że to w obecnych warunkach i przy „wojennem" małżeństwie niema sensu.

– Będzie na to czas, kiedy powrócisz – mówiła – obecnie zaś nie sądzę, żeby to wypadało i żebyś sobie sam tego życzył, żeby twoja żona dużo bywała i bawiła się?

Konrad drgnął silnie. Matka poruszyła w nim strunę podejrzliwości i zazdrości. Już widział Józię w wyobraźni, otoczoną tykowskimi dandysami, uśmiechniętą wesoło i flirtującą z nimi.

– Moja mamusiu złota – zaczął pospiesznie – jeżeli Józia ma gdzieś bywać, to tylko pod opieką mamusi. Dobrze?

– Czy jej nie ufasz? – zapytała pani Żarnicka, bystro i przenikliwie patrząc synowi w oczy.

Konrad zmieszał się.

– Ależ nie to... tylko ona taka jeszcze młoda.

– Jest już mężatką, więc powinna odpowiadać sama za siebie... Zresztą, ona zdaje się nienawykła do nazbyt czujnej opieki.

– Mamusiu!... Mamo droga! Mama mi przecież nie odmawia?

– Nie powiedziałam, że odmawiam. Byłam przeciwną twojemu małżeństwu, przynajmniej tak pospiesznemu... wiesz o tem...

– Mamo! To tak szczęśliwie się stało!...

– To przyszłość dopiero pokaże, moje dziecko. Powtarzam więc, byłam przeciwną i miałam po temu ważne powody. Skoroś się jednak ożenił, nie cofnę się przed tem, by spełnić mój obowiązek względem synowej.

– Mamusiu! Jakaś ty dobra! – Konrad gorąco ucałował rękę matki.

– Tylko – ciągnęła dalej pani Żarnicka – obawiam się, że będę miała trudne zadanie.

– Jakto?! Dlaczego?!

Matka zaczęła pilnie oglądać jakieś mikroskopijne rozdarcie koronki przy sukni.

– Mój drogi, jesteś wprawdzie zakochany, a przysłowie powiada, że miłość jest ślepa. Sądzę jednak, że pozostała ci jeszcze odrobina światła...

– Co mama przez to rozumie?

– Twoja żona... jakby to powiedzieć... no, wiesz sam... Jest trochę lekkomyślna, trochę płocha i roztrzepana i zamało przyzwyczajona zarówno do posłuszeństwa starszym, jak do panowania nad samą sobą... Entre nous soit dit, ona musiała być zupełnie wadliwie chowana...

– Istotnie – przyznał po chwili namysłu Konrad – miała fatalne stosunki rodzinne. Ale wychowanie nie zdołało zepsuć jej złotego serca. Józia jest dobra, wrażliwa niezmiernie i można nią kierować doskonale!

– Czy ci się tylko tak nie wydaje. Jabym powiedziała, że ona ma sporą dozę uporu w swoim charakterze. Nie wiem, czy zechce mnie słuchać.

– Zechce, mamo! Napewno zechce! Już ja z nią pomówię, tylko bądź dla niej dobra, mamusiu i kochaj ją trochę!

– Ha! Spróbujemy!... Będę robiła co w mojej możności...

Na twarzy Konrada odmalowało się trochę zniecierpliwienia. Dlaczego matka mówi tak o Józi, jakby to było jakieś zepsute stworzenie, o zdecydowanie złych popędach, czy nałogach?!

Chciał już coś ostrzej odpowiedzieć, ale się pohamował i zwrócił rozmowę na inny temat.

– Co się tyczy pieniężnych wydatków Józi, to...

Pani Żarnicka spojrzała na syna.

– Oczywiście wszystko, co jej będzie potrzeba, dostanie u nas... Możesz być o to spokojny... A czy jej ojciec nic jej nie dał?

– Nie! – odpowiedział cicho Konrad.

– Nawet się na wyprawę porządną nie zdobył. No, strojów to jej wiele sprawiać nie będę... Tego wymagać nie możesz... Same musimy się oszczędzać...

– To już jak mama będzie uważała! – czoło Konrada przecięła głęboka fałda między brwiami. Widoma oznaka, że coś go rozgniewało lub zmartwiło.

Boleśnie odczuł w tej chwili, że żonę pozostawia „na łasce" u matki. Nic na to nie mógł jednak poradzić. Stało się! Trzeba było przynajmniej zapewnić Józi spokojny kąt.

Pani Żarnicka spostrzegła niezadowolenie syna i zaraz zmieniła taktykę.

– Nie, pozostawiam tobie tę kwestyę do rozstrzygnięcia. Czy chciałbyś, żeby się stroiła?... Ona i tak może aż zanadto podobać się mężczyznom... Jest bardzo przystojna i ma temperament, o, ma...

– Więc czuwaj nad nią, mamo. – zawołał gwałtownie Konrad, na którego uderzyła znowu fala zazdrości.

– Dlatego też sądzę, że rozsądniej będzie, abyś z nią obecnie żadnych nie składał wizyt.

Na tem stanęło. Okazało się jednak zaraz, że grzeczność towarzyska wymaga koniecznie, aby Konrad sam odbył cały szereg obowiązkowych, pożegnalnych wizyt.

Niebardzo mu się wprawdzie tego chciało, ale ostatecznie dał się namówić.

Te obowiązki towarzyskie pochłaniały mu dużo czasu, nieraz pół dnia nie było go w domu, a Józia tymczasem snuła się po pokojach, lub siedziała wtulona w jakiś kąt, bezradna, spłoszona, wytrącona z równowagi, nie wiedząc, co robić ze sobą.

Kiedy zaś Konrad powracał, porywała go matka. Tyle z nim zawsze miała rzeczy do ogadania, tyle mniej lub więcej ważnych spraw do załatwienia.

– Ona to robi umyślnie, żebym ja się Konradem nacieszyć nie mogła – myślała Józia – i ja u tej kobiety mam pozostać?... Boże!... Tożbym stokroć wolała ciotkę Antosię!... Była nieznośna, to prawda, ale ta nienawidzi mnie... O! bo wiem, że nienawidzi, tylko udaje przed Konradem.

Lola okazywała jej życzliwość, ale ukradkiem, aby nie ściągnąć na siebie ostrych upomnień matki.

To też Lola i Józia niewiele mogły rozmawiać ze sobą, bo pani Żarnicka zaraz odwoływała córkę, choćby pod najbłachszym pozorem.

– Mój najmilszy – powiedziała któregoś dnia Józia do męża – czy ty koniecznie tak ze wszystkimi musisz się żegnać?...

Konrad zrobił trochę zakłopotaną minę.

– Widzisz, Józieńko, właściwie, to mogłoby się obejść... Wolałbym ja siedzieć i gwarzyć z moją żonką, niż włóczyć się po tych przeważnie nudnych wizytach...

– Więc po cóż chodzisz? Tak krótko już...

– Mama sobie tego tak bardzo życzy. Ma swoje przesądy towarzyskie, a nie chciałbym irytować jej.

Józia westchnęła i nic nie odpowiedziała.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pożegnanie Legionów w Kaliszu.

Z inicyatywy grona kaliskich obywateli, odbyło się w ubiegłą niedzielę w lokalach miejscowego Towarzystwa wioślarskiego, uroczyste pożegnanie Legionistów, odjeżdżających z okręgu kaliskiego, po rozwiązaniu aparatu zaciągowego. Około godziny siódmej wieczorem przybyli na boisko Towarzystwa pod wodzą swych oficerów wszyscy Legioniści, w liczbie około dwustu, gdzie, po odczytaniu rozkazu dziennego inspektora okręgu kaliskiego, kapitana Dziekanowskiego, oraz szefa zaciągu, pułkownika Sikorskiego, powitał przybyłych imieniem Towarzystwa prezes, p. Motylewski, poczem zaprosił wszystkich na skromną ucztę pożegnalną w salach Towarzystwa. Przy dźwiękach kapeli spędzili nasi żołnierze miły ten wieczór, który na długo pozostanie w ich pamięci, jako dowód sympatyi, którą dzielni Kaliszanie zawsze Legionistów darzyli.

W czasie uczty wznieśli toasty na cześć i pomyślność armii polskiej, oraz przemawiali pp.: rejent Młynarski, rejent Bzowski, sekretarz Towarzystwa p. Szudek, wójt gminy Pamięcin, p. Zapart, i inni. Odpowiedział w pięknych słowach kapitan Dziekanowski, wznosząc toast na cześć obywatelstwa i województwa kaliskiego. Przemówienia przeplatane były choralnymi śpiewami żołnierskimi.

Na zakończenie uroczystości miejscowy fotograf, p. Jackowski, dokonał zbiorowego zdjęcia obecnych.

Dawny system rosyjski przed sądem.

Gdy rozpoczęta obecnie ofenzywa rosyjska jest próbą sił militarnych rewolucyjnej Rosyi, wewnątrz



Uroczystości Bożego Ciała w Królestwie Polskiem: Legioniści w procesyi przed Zamkiem Królewskim w Warszawie (Fot. Dulęba, Warszawa).

państwa rozpoczyna się rozrachunek z dawnym systemem, który ma się skrystalizować w licznych procesach, wytoczonych carowi i ministrom. Jednym z pierwszych ma być proces byłego ministra wojny, Suchomlinowa, przeciwko któremu został już ogłoszony akt oskarżenia. Podniesiono tam zarzuty bardzo ciężkie i przytoczono dowody, z których wynika, że Suchomlinow był istotnie sprawcą klęsk rosyjskich w drugim roku wojny. Oskarżenie rozpada się na dwie części: w pierwszej roztrząsana jest jego działalność, jako ministra, w drugiej jego stosunki z Miasojedowem i Altschillerem.

Jako minister miał obowiązek dbać o zaopatrzenie armii w amunicyę, a już na początku wojny okazały się pod tym względem rażące braki. We wrześniu 1914 roku główna komenda spostrzegła, że zużycie nabojów i pocisków przewyższa wszelkie obliczenia i przewidywania: „Położenie bardzo niebezpieczne, dajcie pomoc!“ — telegrafował jenerał Zabielin. „Kwestya ładunków, to nasz koszmar“, pisze jenerał Januszkiewicz. W październiku 1914 roku telegrafował jenerał Iwanow: „Jeżeli nie otrzymamy pocisków, trzeba będzie przerwać walki i cofnąć armię w najgorszych warunkach“. W listopadzie 1914 roku donosi jenerał Ruzskij, że na północno-zachodnim froncie niema już żadnych zapasów amunicyi; jenerał Januszkiewicz telegrafuje, że położenie jest groźne i trzeba koniecznie przyspieszyć wysyłkę amunicyi, gdyż grozi katastrofa. Wszystkie te wezwania i prośby nie odniosły najmniejszego skutku.

Równie niebezpiecznym był brak karabinów i kartaczownic. W jednym tylko kazańskim okręgu wojskowym zabrakło karabinów dla 132 tysięcy rekrutów! W październiku nie było już czem uzbroić 585 tysięcy nowobrańców. W grudniu 1915 roku

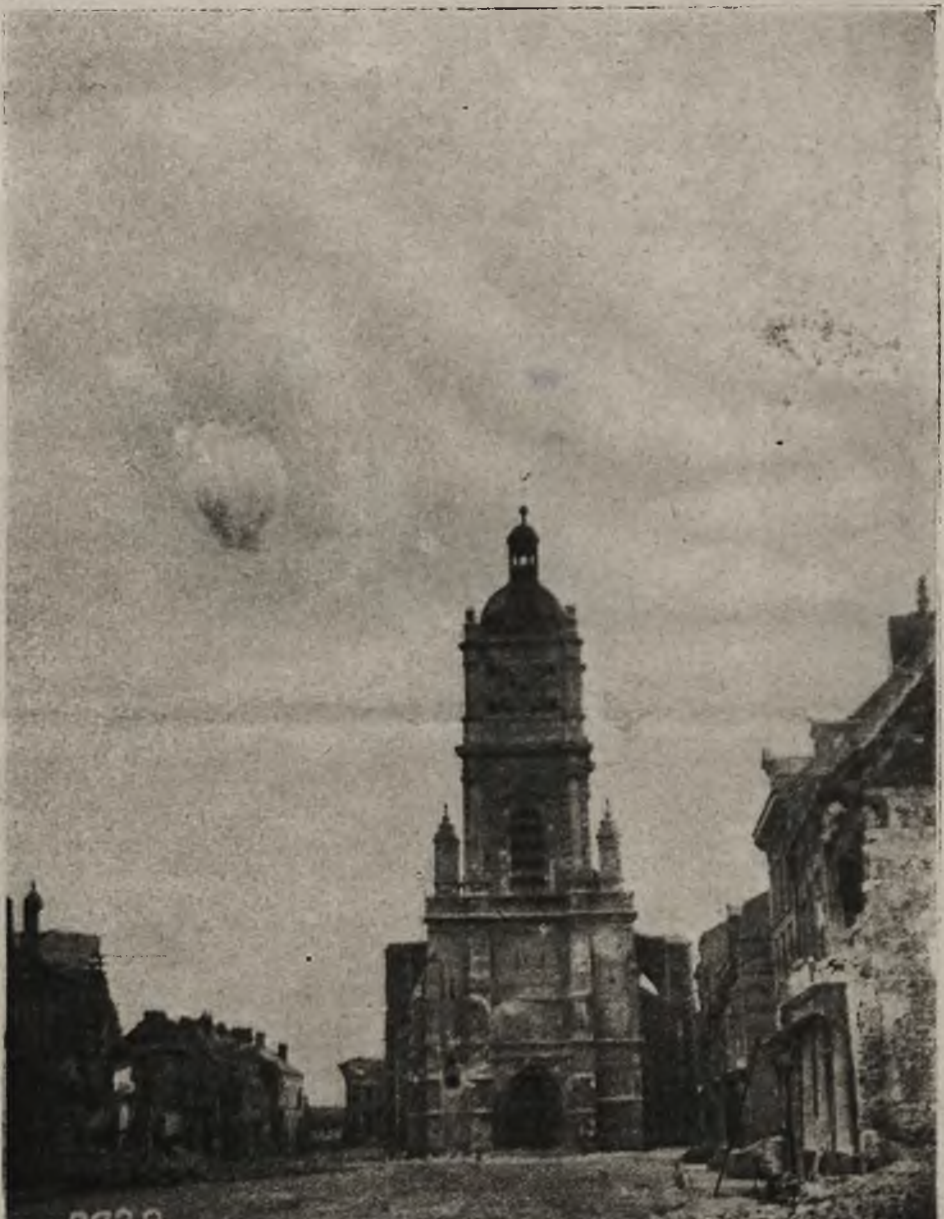


Pożegnanie Legionistów w Kaliszu: Uczestnicy pożegnalnej uroczystości w siedzibie Tow. wioślarskiego. W pośrodku siedzi kap. Dziekanowski (X), po prawej stronie rejent Młynarski, dyrektor banku, p. Dziewulski, po lewej: rejent Bzowski, rejent Wyganowski, mecenas Korzuchowski i dr. Koszutski. Po prawej stronie stoją: adjutant, chorąży Józef Lasoń, oraz prezes Tow. wioślarskiego, p. Motylewski.



Największa bitwa: Wieś w okolicy Arras, na zachodnim froncie, podczas bombardowania przez angielską artylerye.





Największa bitwa:

Wnętrze kościoła w Lens, zniszczonego pociskami dział angielskich.

Plac targowy i kościół w Lens na zachodnim froncie. Na wysokości szczytu wieży kościelnej na lewo, pękający szrapnel

pisał jenerał Januszkiewicz: „Włosy mi stają na głowie na myśl, że z braku nabojów i karabinów będziemy zmuszeni poddać się Wilhelmowi“. W sierpniu 1915 roku brakowało 12.000 karabinów maszynowych! W lipcu 1915 roku pisze Januszkiewicz: „Brusiłow będzie kapitulował dla braku amunicyi, kazał opuścić Lwów“. W tym samym czasie donosi jenerał Iwanow: „W dwunastym korpusie siódmej dywizyi mają razem 12.000 karabinów; 150.000 ludzi stoi bez broni. Brakuje mi pół miliona pocisków“. Januszkiewicz podaje, że, podczas walk o Lublin i Warszawę, bezbronni żołnierze na tyłach czekali na karabiny po zabitych i rannych, co paraliżowało każdą akcyę zaczepną.



Z Teatru Ludowego: Aniela Kolman.

Na te rozpaczliwe telegramy odpowiadał stale Suchomlinow tą samą formułką: że wydano odpowiednie zarządzenia. Nie dość na tem. Kiedy w końcu września 1914 roku francuski ambasador, Paleologue, zapytał Suchomlinowa na polecenie jenerała Joffre, czy armia rosyjska posiada dostateczne zapasy amunicyi, minister odpowiedział, że pod tym względem nie ma żadnych obaw, gdyż wyrób amunicyi tak powiększono, iż ilość pocisków wystarczy nawet na dłuższą metę. Wskutek tych uspakajających wyjaśnień, sztab francuski zaniechał dalszych zapytań. To też późniejsze klęski Rosyan, które główna komenda tłumaczyła brakiem amunicyi, wywołały wprost osłupienie w francuskich kołach wojskowych.

Suchomlinow tłumaczył się w śledztwie, że sprawa amunicyi należała do komitetu artyleryjskiego i do pomocnika ministra wojny, Poliwanowa; że on sam uznał normę 1000 pocisków na działo zaz byt niską i chciał ją podnieść do 1500; ale było to niemożliwe ze względów finansowych; że wreszcie, po bitwach przy jeziorach Mazurskich, zwrócił się o pomoc do przemysłu prywatnego, ale mało uzyskał.

Co do stosunków z ajentami obcych mocarstw, akt oskarżenia stwierdza, że, jeszcze na dwa lata przed wojną, Suchomlinow udzielał podpułkownikowi żandarmów, Miasojedowi, rozmaitych wiadomości, które stanowiły tajemnicę wojskową. W tymże samym czasie porozumiewał się z poddanym austryackim, Altschillerem i jemu również powierzał bardzo ważne szczegóły rosyjskiej wojskowej organizacyi. Zdradził przed nim mianowicie treść swoich raportów do cara, dotyczących obrony granic rosyjskiego państwa na wypadek wojny. Po wybuchu wojny, Suchomlinow zarządził na żądanie Miasojedowa przeniesienie tego szpiega do armii czynnej, pomimo ciężkich podejrzeń, jakie już wówczas na nim ciążyły. W sierpniu 1914, po wypowiedzeniu wojny, Suchomlinow wręczył dwom ludziom, nie należącym do armii, Mikołajowi Goszkiewiczowi i Bazylemu Dumbadze, tajne dokumenty, dotyczące najważniejszych spraw wojskowych, jako to o sile zbrojnej Rosyi, o planie mobilizacyjnym, o uzbrojeniu armii i t. p. Wszystkie te wiadomości wymienione osoby sprzedały obcym mocarstwom.



Dawny system rosyjski przed sądem: Były minister wojny W. Suchomlinow, przeciw któremu ogłoszono akt oskarżenia o zdradę stanu.

Gdyby nawet Suchomlinow nie wiedział, że Miasojedow był agentem obcego mocarstwa, nie miał żadnej podstawy do powierzania tajemnic wojskowych obcemu poddanemu, jak Altschiller, lub ludziom zupełnie obcym, jak Goszkiewicz i Dumbadze. W stosunkach z Miasojedowem i Altschillerem pośredniczyła pani Suchomlinowa, która to czyniła w celach osobistego zysku.

Tragedyą Suchomlinowa jest jego małżeństwo. Jeszcze jako głównodowodzący kijowskim okręgiem wojskowym, jako pięćdziesięciokilkoletni mężczyzna, zakochał się bez pamięci w żonie jednego z tamtejszych urzędników, kobiecie pięknej, strojnej i rozrzutnej. Ponieważ mąż nie godził się na rozwód, Suchomlinow, przy pomocy dwóch przekupionych lekarzy osadził go w domu obłąkanych. Był to w swoim czasie głośny w całej Rosyi skandal. Ostatecznie rozwód przyszedł do skutku; prawie równocześnie Suchomlinow przeniósł się do Petersburga, najpierw jako pomocnik ministra, a niebawem, jako minister. Śledztwo wykazało, że, w chwili przybycia do stolicy, jenerał posiadał kapitał 50.000 rubli, a wszystkie jego dochody wynosiły 30.000 rubli rocznie; tymczasem wydawał najmniej 70.000 rubli, a przez czas swojego urzędowania, jako minister, złożył



Z Teatru Ludowego: Henryk Miller w „Róży Stambułu“.

w rozmaitych bankach 700.000 rubli. Zapytany, skąd uzyskał te sumy, odpowiedział, że z szczęśliwej gry na giełdzie, żadnych jednak dowodów nie umiał przytoczyć.

Proces, który odbędzie się niebawem, odsłoni niezawodnie przerażający obraz zepsucia i rozkładu dawnego systemu.



Legiony w Królestwie Polskiem: Kurs instruktorski karabinów maszynowych w Ostrowie. W pośrodku kierownik kursu por. Siczek. (C. B. W. N. K. N.)

Z Teatru Ludowego.

Zmiany w Teatrze ludowym, wbrew obawom publiczności, sympatyzującej tak silnie ze sceną przy

ulicy Rajskiej, nie wstrząsną podwalinami zespołu i repertoaru. Filary tej sceny pozostaną i na przyszły sezon, a — jak wieści zakulisowe nas dochodzą — kilka wybitnych sił ma być jeszcze „przyangażowanych“.

Jeżeli mowa o „filarach“ Teatru Ludowego, to mimowoli każdemu prawowitemu Krakowiakowi przychodzi na myśl świetna artystka, p. Aniela Kolmanówna. Podobnie jak Wojnowska swego czasu, posiada prócz niepospolitego talentu i zdumiewającej intuicyi, jeden jeszcze urok nieprzeparty: jest na wskróś naszą, z krwi i kości krakowskiem dziecięciem. Z każdej jej kreacyi bije to silne umiłowanie miasta, a raczej przedmieść, rozumie tych ludzi z oficyn i suteryn — umie myśleć i czuć ich sercem i nerwami. Każda jej rola to sumienne studyum obserwacyi, to skończony w sobie typ żywy i z życia wzięty.

Jakie są najlepsze role „naszej Kolmanki“, trudno na to odpowiedzieć... Nie widziałem jej jeszcze źle grającej, z każdej najniewdzięczniejszej umie wydobyć, co jest stosunkowo najlepszego. Jest to wierna i rzetelna przyjaciółka autora, chluba każdej dyrekcyi, a ulubienica i faworytka publiczności.

Jeżeliby jednak koniecznie chciał mnie ktoś postawić w kłopotliwem położeniu i żądał wymienienia najlepszych jej ról — to zdecydowałbym się prawdopodobnie na Paulinę w „Wicku i Wacku“, Gzymsikową w „Krowoderskich Zuchach“, nie zrównaną Maciejową w „Królowej przedmieścia“, Jentę w „Małce Schwarzenkopf“, Florę w „Sprawie kobiet“ i — dość już. Musiałbym chyba wszystkie jej role po kolei wymieniać.

Aniela Kolman pracuje w Teatrze Ludowym od samego założenia, od czasów Knake-Zawadzkiego... Jest temu lat dwanaście. Zdumiewający ten talent wciąż się rozwija, coraz więcej potężnieje i dziś już stoi na wyżynie, jaką w tym zakresie udało się osiągnąć tylko jednej: Paulinie Wojnowskiej. Godną jej następczynią jest Aniela Kolman.

Zastanawiając się nad bilansem artystycznym naszej operetki, niepodobna nie zatrzymać się z uznaniem i szacunkiem przed nazwiskami dwojga artystów: Bronisławy Krajewskiej i Henryka Millera.

Pan H. Miller dźwigał na swych barkach cały ciężar repertoaru ubiegłego sezonu. Przepyszny tenor o silnym, metalicznym głosie, obdarzony niezwykłą muzykalnością, dał nam szereg wybornych postaci w modernistycznej operetce, że wspomnimy tu tylko główne partye w „Dookoła miłości“, „Domku trzech dziewcząt“, „Królowej kina“, „Narzeczonej z winobrania“ i „Róży Stambułu“. Dyrekcya teatru dobrze uczyniła, zobowiązując artystę i na przyszły sezon.



Z Teatru Ludowego: Jan Kucharski w „Zbójcach“.

Ciekawem ze wszech miar zjawiskiem scenicznem jest p. Jan Kucharski, który w pierwszym występie, jako Franciszek w „Zbójcach“, dał nam się poznać z jak najlepszej strony. Pierwsze kroki sceniczne stawiał p. Kucharski w polskim teatrze, w niedługim czasie przerzucił się na scenę niemiecką, by wreszcie zostać jednym z najlepszych aktorów kinowych za granicą. Ale miłość do polskiej sceny i kraju przemogła ostatecznie. Wzgardził oklaskami Niemców i złotem kinoteatrów — i jak dobry syn polskiej Muzy — powraca do nas.

Bardzo korzystne warunki zewnętrzne, miły, dźwięczny głos, intelligencya wrodzona i staranność w opracowaniu ról, są wielkimi zadatkami na przyszłość dla wysoce utalentowanego artysty.

K. K. R.

Ku czci ś. p. Jadwigi z Łobzowa.

W szkole wydziałowej żeńskiej im. św. Anny, przy ulicy Topolowej, odbył się poranek ku uczczeniu ś. p. Jadwigi Strokowej, poetki-nauczycielki.

Poranek, urządzony staraniem dyrektorki, p. Ludmiły Horaczkówny i grona nauczycielek, powtórzono czterokrotnie od 17. czerwca b. r., a czysty dochód, w kwocie 201 K, przeznaczono na pomnożenie funduszu stypendyum im. Jadwigi Strokowej dla uczenicy seminaryum.

Zespół przedstawień tworzyły uczenice szkoły od klas najniższych. Słowo wstępne o życiu i pracach poetki, napisane przez jedną z nauczycielek barwnie i potoczyście, wypowiedziała z uczuciem uczenica klasy trzeciej wydziałowej. Na program, ułożony wyłącznie z utworów ś. p. Strokowej, złożyły się deklamacye, wygłoszone z wielkim zapałem i zrozumieniem treści i śpiew choralny. Na zakończenie odegrały uczenice obrazek sceniczny ze śpiewami Jadwigi z Łobzowa: „Pożegnanie“, przedstawiający chwile rozstania się uczenic ze szkołą i ukochaną nauczycielką.

Zamieszczona fotografia przedstawia obraz z ostatniej sceny: nauczycielkę żegnają uczenice, składają jej hołd za trudy nad ich wychowaniem i wpojeniem w ich dusze cnót niewieścich pracy, cierpliwości i łagodności, których postacie allegoryczne widać w głębi.

Poranek, bardzo licznie odwiedzany przez uczenice zakładu, ich rodziców, gości i inne szkoły żeńskie, zostawił wrażenie nader korzystne i miłe, na co się złożyła podniosła treść utworów, doskonała deklamacya, śpiew i gra młodocianych artystek, oraz gustowna dekoracya sali.



Największa bitwa: Skutki uderzenia granatu angielskiego w okolicy Arras.

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

5

— Ale cóż to? Jeżeli przyszłość potrafi mi wynagrodzić przeszłość i skoro mam nadzieję znaleźć ten spokój w uczuciu ojcowskiem, jakie mam dla ciebie? Ale nie mówmy już o tem, drogie dziecko, nie miejsce to, ani pora stosowna. Jeżeli chciałem dzisiaj widzieć się z tobą, to dlatego, że słowa pani Bourgeois zaniepokoiły mnie trochę.

— Jakto? — zapytała młoda dziewczyna z niespokojnem zdziwieniem. — Cóż takiego mogła powiedzieć pani Bourgeois, aby wzbudzić niepokój pana?

— Zwierzyła mi, że od kilku tygodni zauważyła zmianę w usposobieniu twojem, Gilberto!

— Zmianę we mnie? — szepnęła młoda dziewczyna, silnie wzruszona.

— Tak, moje dziecko. Ty, taka wesoła i pogodna, stałaś się podobno zamyślona i smutna. Może pani Bourgeois się myli, czego pragnąłbym gorąco. Ale, jeżeli rzeczywiście odgadła, że dręczy cię jakiś smutek utajony, to nie trzeba go ukrywać przedemną, Gilberto. Wiesz, że jestem gotów uczynić największe poświęcenie, aby ci zachować szczęście i zadowolenie.

Przy pierwszych słowach pułkownika, ciemny rumieniec pokrył czoło dziewczęcia, a oczy jej mgłą zaszły, jakby pod wrażeniem bolesnego uczucia. Ale to wrażenie było przelotne: zrozumiała, że musi opanować wzruszenie swoje i zdobyła się na lekki uśmiech.

— Pani Bourgeois — wyrzekła — okazuje mi prawdziwe macierzyńskie przywiązanie. Otacza mnie staraniem i czuwa nademną bezustannie i to czuwanie jej skore jest do nieuzasadnionego niepokoju. Zaręczam panu, że tym razem pomyliła się.

— A więc, Gilberto, nie masz żadnego powodu do smutku? — nalegał jeszcze pułkownik.

— Żadnego, przysięgam!

— Nie nudzisz się tutaj?

— Oh, byłabym bardzo niewdzięczną!

— Bo, gdyby tak było, powinnaś mi to szczerze powiedzieć, moje dziecko! W twoim wieku ma się różne aspiracye, upodobania, i jeżeli życzyłabyś sobie jakiej odmiany, zabrałbym cię stąd natychmiast, lub umieścił w innym pensyonacie.

Pułkownik nie dokończył jeszcze, kiedy spostrzegł, że młoda dziewczyna zbladła silnie i drżeć zaczęła.

— Co ci jest, Gilberto? — zapytał zaniepokojony.

— Nic, nic zupełnie — odpowiedziała z wielkim wysiłkiem, próbując się uśmiechnąć.

— Jednakże widzę, jak zbladłaś!

— Oh, niech się pan nie niepokoi. To drobnostka! Lekkie bicie serca. To jest bolesne, ale przechodzi po chwili.

— I nic mi o tem nie mówiłaś?

— Po co?

— Pomówię o tem z doktorem... z panią Bourgeois...

— Nie, nie, proszę pana! Nie trzeba mówić nikomu, to dzieciństwo! Oh, widzi pan, już przeszło. Proszę nie myśleć już o tem! Jest mi tu dobrze, wszyscy mnie kochają i gdybym miała ten dom opuścić, sprawiłoby mi to wielką przykrość.

Pułkownik Robert nie przestał jednak obserwować młodą dziewczynę; po chwili rysy jego wypogodziły się i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Niech i tak będzie! — Nie chcę przywiązywać za wiele wagi do tej drobnostki, jak ją nazywasz. Zobaczymy później, jeżeli się to powtarzać będzie.

— Pan już odchodzi?

— Powracam do hotelu.

— Ale ja jeszcze zobaczę pana?

— Nie wątp o tem, Gilberto!

— A więc do widzenia! — rzekła młoda dziewczyna z rozjaśnionemi oczami.

— Do widzenia, moje dziecko — odpowiedział pułkownik — i pomyśl czasem o tem, bo ty, pamiętaj, Gilberto, jesteś obecnie jedyną troską mojego życia!

Raz jeszcze przycisnął usta do jej czoła i w chwilę później wychodził z pensyonatu pani Bourgeois.

W ogrodzie jednak spotkał oczekującą na niego dyrektorkę zakładu.

— A więc? — zapytała niespokojnie — Widział ją pan?

— Tak, proszę pani i muszę pani podziękować za jej starania i troskliwość koło Gilberty. Tylko, tak, jak i pani, zdaje mi się, że coś niepokoi jej umysł i proszę panią o wybadanie przyczyny.

— Będę ją obserwować!

— Ale tak, aby się nie domyśliła!

— Niech pan będzie spokojny! Gilberta ma za wiele prostoty w sobie, aby coś podobnego przypuścić mogła. Mam nadzieję, że kiedy pan powróci, będę mogła wytłumaczyć panu ten tajemniczy jej niepokój, z którego może sama sobie nie zdaje sprawy.

Pułkownik pożegnał się z panią Bourgeois i wkrótce znalazł się na bulwarze Bel-Air.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem Cypryan Leduc, pożegnawszy się z pułkownikiem Robert, udał się pieszo ulicą St. Germain do swojego mieszkania na avenue de l'Abbae.

W mieszkaniu tem znajdował się obecnie jeden tylko urzędnik. Był to młody człowiek, dwudziesto-kilkoletni, smukły i wysoki, o czarnych włosach i oczach ciemnych, intelligentnych i żywych.

Na szelest otwierających się drzwi, odwrócił się szybko i zawołał:

— Pan Leduc!

Archiwista przywitał się serdecznie z młodym człowiekiem, uśmiechając się z zadowoleniem:

— Otóż to! — mówił wesoło. — Poznaję mojego Jerzego! Zawsze punktualny i pracowity. To dobrze, mój chłopcze! Potrafisz sobie utorować drogę w życiu!

— Czy odbył pan podróż szczęśliwie? — zapytał młody człowiek, podsuwając szefowi swojemu duży, wygodny fotel.

— Doskonale, mój przyjacielu, doskonale! Nie czuję nawet najmniejszego znużenia.

— Był pan w Saint-Nicolas?

— Stamtąd właśnie przybywam — odparł pan Leduc, zapalając papierosa.

— I widział pan?...

Cień smutku przebiegł na te słowa po twarzy starego archiwisty.

— Widziałem to wszystko, co było do widzenia — odparł poważnie. — Rozmawiałem z notaryuszem, wszedłem w gawędki z niektóremi kobietami i przywożę ze sobą dokumenta, których nie odstąpił na wagę złota.

— Ale to jeszcze nie wszystko — wyszeptał Jerzy, patrząc niespokojnie na niego.

Cypryan Leduc skinął głową.

— Nie — odparł — to nie wszystko! Nie zapomniałem o niczem, co cię interesować może. Kiedy zebrałem wszystkie potrzebne wiadomości, udałem się na cmentarz.

— Oh, jaki pan dobry!

— Pozostałem tam długą godzinę. Biedna kobieta! Nie była szczęśliwą w życiu, dosyć się napłakała i wycierpiała!

— Moja biedna matka — szepnął stłumionym głosem młody człowiek.

— Ale przynajmniej po śmierci będzie mieć spokój, którego nie miała w życiu. Grób jest w zacisznem miejscu wybrany, otoczony krzewami i kwiatami. Pomodliłem się na tym grobie i, jeżeli mnie usłyszała, to wie, że czuwać będę dalej nad tobą, jak nad dzieckiem rodzonem.

— Panie Leduc, jakąż ja wdzięczność winienem panu!

— Głupstwa gadasz, mój Jerzy! Bądź tylko uczciwym człowiekiem, oto, co żądam od ciebie. I nie daj się osłabić przeciwnościami, jakie na swojej drodze napotkać możesz. Kto wie, może przyszłość wynagrodzi ci wszystko. Ale już dosyć o tem! Mam kilka ważnych interesów do załatwienia w mieście i nie trzeba tracić czasu napróżno. Bądź zdrów, Jerzy. powrócę wieczorem!

Cypryan Leduc pożegnał swojego wychowanka i zbiegł spiesznie ze schodów.

Na rogu ulicy Saint-Germain wsiadł do dorożki.

— Gdzie mam was zawieźć, obywatelu? — zapytał stary, czerwony dorożkarz.

— Do Belleville, przyjacielu — odparł archiwista, zamykając drzwiczki powozu.

IX.

Druga godzina biła, kiedy Cypryan Leduc zatrzymał się na rogu ulicy Pixécourt. Wyskoczył z powozu, zapłacił dorożkarza i zapuścił się w ulicę. Ale nie szedł długo. Wkrótce bowiem zatrzymał się i uważnie przypatrywać się zaczął kamienicy, przed którą się znajdował. Był to dom niski, zaniedbany i wąski. Na parterze mieścił się magazyn konfekcyi.

Stara kobieta stała na progu domu. Cypryan Leduc podszedł do niej.

— Przepraszam panią — rzekł, rzucając badawcze spojrzenie wokoło — czy pani dawno tu mieszka?

— Już prawie dziesięć lat — odparła stara, patrząc podejrzliwie na niego.

— Bo, widzi pani, to jest numer domu, którego szukam, ale numer ten może został zmieniony?

— A więc szuka pan kogoś, który niegdyś mieszkał w tym domu? — zapytała stara.

— Tak.

— Jakże się nazywała ta osoba?

— To był Szymon, stolarz.

— Ah, ah!

— Pani go zna?

— Pewnie! Mój mąż i ja właśnie zastąpiliśmy go tutaj.

— A cóż się z nim stało, odkąd opuścił tę ulicę?

— Ho, ho! Zawiele pan wymaga odemnie! A zresztą, ja nie lubię ludzi, którzy się mieszają w cudze sprawy.

Cypryan Leduc uśmiechnął się dobrotliwie.

— Niech się pani uspokoi, nie jestem tym, za kogo mnie pani bierze. Jeżeli szukam tego Szymona, to tylko we własnym jego interesie. Niech mi pani wierzy, on by się wcale nie gniewał, gdyby wiedział, że go poszukują.

Stara kobieta spojrzała na niego łagodniej.

— Tu chodzi o wielką rzecz — rzekł jeszcze Cypryan Leduc, pochylając się ku niej. — Jeżeli ten Szymon, który tu mieszkał, jest tym człowiekiem, o którym mi mówiono — za kilka dni stać się może bogatym.

— Co pan mówi! — wykrzyknęła zdumiona kobieta. — Ano, ten nie będzie mógł się żalić na los!

— Nieprawdaż?

— Taki pijak!

— Mówiono mi o tem.

— Miał u siebie dwoje dzieci, istne aniołki, a bił je, jak drzewo...

— Tak, tak, właśnie.

— Toteż starsza z tych dziewcząt nie zniosła tego dłużej... Pięknego dnia opuściła budę i poszła sobie. Kiedyśmy tu przyszli zastąpić tego Szymona, już jej nie było. Została tylko młodsza, dziesięcioletnia, biedactwo, ładne jak obrazek, ale bledziutkie, bo nie było tu dobrze, każdy to przyznać musi. No, ale jeżeli los tak się obchodzi dobrze z podobnymi nędznikami, to już w nic człowiek wierzyć nie może!

— Pani ma zupełną słuszność! Takich ludzi, jak my, podobne szczęście nigdy nie spotka! Czy nie wiadomo, dokąd się ten Szymon wyprowadził?

— Kto go wie? Zanim stąd wyszedł, wysprzedał się do ostatka. Podobno umieścił się w jakiejś pracowni w Belleville, gdzie mało pracuje, a dużo pije. Ale zaraz! Przypominam coś sobie! Tak, tak, mówiono tu kiedyś, że go widziano w jakiejś norze w Romainville.

Cypryan Leduc zapamiętał sobie dobrze tę wskazówkę, o którą tylko właśnie mu chodziło. Po pewnej chwili pożegnał starą kobietę i oddalił się. Chciał jak najprędzej znaleźć się na ulicy Romainville.

Wskazano mu tam chętnie dom. w którym mieszkał Szymon, stolarz.

Było to zabudowanie robotnicze, kilkopiętrowe i obszerne, takie, jakie się często spotyka na przedmieściach Paryża. Istny ul ruchliwy i hałaśliwy, przez który przewijał się bezustannie tłum kobiet, starców i dzieci i z którego w tej chwili dobiegał głuchy szmer rozmów, nawoływań i klekot maszyn do szycia.

Przy głównem wejściu znajdowała się loża portyera, umieszczona tuż przy schodach. Czuwanie nad lokatorami, dochodzącymi do stu kilkunastu, nie było zbyt łatwą rzeczą.

Dozorczynią tego domu była pani Langlois, matrona o obfitym biuście i brzuchu, której korpulentność imponowała wszystkim.

Cypryan Leduc, zaledwie ją ujrzał przed sobą, zrozumiał prędko, że tutaj nie spotka tej ochoty do rozmowy i zwierzeń, jak na ulicy Pixécourt. Ale nie stracił odwagi, uczyniwszy to spostrzeżenie i natychmiast przygotował sobie plan, który niezawodnie musiał się okazać dobrym w rezultatach. Krótką chwilę przypatrywał się pani Langlois przez okienko, wyrznięte w drzwiach do jej mieszkania i wszedł, zapukawszy poprzednio.

Otyła niewiasta, zajęta gotowaniem obiadu, odwróciła się niechętnie i zmierzyła przybysza surowem spojrzeniem.

— Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam pani — wyrzekł archiwista ugrzecznionym tonem — ale spostrzegłem kartkę na drzwiach, a ponieważ szukam mieszkania...

Pani Langlois postąpiła krok naprzód i raz jeszcze zmierzyła go spojrzeniem.

— Jest rzeczywiście pokój do wynajęcia — odpowiedziała niedbale — na piątem piętrze w oficynie.

— A jakaż jest jego cena?

— Sto pięćdziesiąt franków kwartalnie, płatnych z góry.

— Oh, do dyabła! To trochę za drogo! A możnaby zaraz się sprowadzić?

— Pokój już jest wolny od paru dni.

— Tak. To zmienia postać rzeczy! Czy mógłbym jednak pokój ten zobaczyć?

Pani Langlois wyprostowała się w całej swojej okazałości.

— Oh! Co do tego, mój panie, to musi pan przyjść raz jeszcze. Nie jestem wolna teraz, za godzinę wskażę panu mieszkanie.

— Dobrze — odparł Cypryan Leduc. — Nie nalegam wcale, bo widzę, że pani jest zajętą. Powrócę później, ale, że chcę zachować prawo pierwszeństwa, zostawię pani tę drobnostkę, którą pani zachowa dla siebie, jeżeli dojdziemy do porozumienia.

Mówiąc to, archiwista wyciągnął z kieszeni pięć franków i wręczył je pani Langlois, która przyjęła je z bardzo miłym uśmiechem.

— Trzeba pani wiedzieć — ciągnął dalej Leduc, ośmielony tem spostrzeżeniem — że wyszedłem dziś rano nie tylko w zamiarze wynajęcia pokoju w tej dzielnicy, ale skoro sposobność się nadarza, chcę z niej korzystać. Niech sobie pani wyobrazi, że szukam kogoś, którego adres nie bardzo jest pewny i dotąd tej osoby nie odnalazłem.

— Pan szuka kogoś? — wyrzekła pani Langlois grzecznie, widocznie olśniona hojnością nowego lokatora.

— Tak jest. To jedno wiem, że ten człowiek mieszkał w tej stronie.

— Czy to robotnik?

— Tak jest.

— Jak się nazywa?

— Szymon.

— A czem się zajmuje?

— Jest stolarzem.

Pani Langlois uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Szymon stolarz! — zawołała. — A, to ciekawy zbieg okoliczności, doprawdy!

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Ależ ten pokój właśnie, który teraz jest wolny, to ten Szymon go zajmował przez czas jakiś.

— Z córką swoją?

Twarz pani Langlois spoważniała nagle.

— Otóż to właśnie! Dotknął pan rzeczy bardzo przykrej. Biedna Gilberta! Takie miłe i ładne dziecko! Miała zaledwie lat trzynaście, kiedy tu z nim zamieszkała, a po tygodniu wszyscy w kamienicy kochali ją jak własne dziecko. Oh, mój Boże! Ile razy o niej pomyślę, to serce mi się kraje z boleści.

— Cóż się z nią stało?

— Czy to kto może wiedzieć!

— Czyżby Szymon opuścił to dziecko?

— Ej, mój panie, a kto powiedzieć może, że to była jego córka? Ja w to nie wierzyłam nigdy. Najprzód nie była wcale do niego podobna i taka delikatna, jak prawdziwa panienka. Szymon zajmował pokój, a mała spała w sionce, tak zimnej, że zamarznąć tam mogła. Żyli tak jakoś kilka miesięcy, aż jednego dnia Gilberta znikła zupełnie.

— A Szymon?

— On! Czy myśli pan, że się tem niepokoił? Powracał, jak dawniej, co wieczór do domu pijany do nieprzytomności, a czasem to i na noc nie wracał.

— Jak pani sobie tłumaczy to nagłe zniknięcie dziecka?

— A cóżby, mój panie! Szymon nie był głupi człowiek. Mała była ładna... Pewnie znalazł jakiego nędznika, który mu dosyć pieniędzy dał za nią!

W głosie pani Langlois brzmiało tak szczere i głębokie oburzenie, że Leduc czuł się wzruszony.

— Może pani przesadza — rzekł łagodnie. — To byłby rzeczywiście czyn bardzo brzydki!

— Ah! Czy to się nie widzi, niestety, codziennie — odparła pani Langlois. — Mój panie! Dosyć się ja takich okropności napatrzyłam w życiu! A to, co tu widziałam...

— Co pani takiego widzieć mogła?

— Pan nie jest pierwszy, który pragnie zasięgnąć wiadomości o tym człowieku — odparła wymijająco pani Langlois.

— Ah! Któż taki pytał się o niego jeszcze?

— Kobieta.

— Doprawdy?

— Oh! Tej nie potrzebowałam się pytać, kim jest...

— Młoda?

— Młoda i ładna, w wielkim kapeluszu i w jedwabnej sukni, którą zamiatała moje schody.

— A więc pytała się o Szymona?

— I o niego — i o małą.

— Cóż pani o tem pomyślała?

— Mój panie! Nie tak trudno odgadnąć taką zagadkę. Ta, co tu była, to nic dobrego, chociaż miała na siebie koronki i pierścienie. Biedna Gilberta! Pomyśleć, że wpaść mogła w takie ręce! Nie mogę bez irytacyi o tem pomyśleć. To też może sobie pan wyobrazić, jak ją przyjęłam...

— I nie powróciła więcej?

— Oh, nie! Musiała zrozumieć, że nie obejdę się z nią po raz drugi tak grzecznie...

Cypryan Leduc zamilkł na chwilę. Czoło jego zbiegło się w gęste zmarszczki, a w oczach ukazał się wyraz niepokoju.

Po jakimś czasie jednak podniósł głowę i spojrzał życzliwie na panią Langlois.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem trochę porozmawiać z panią — rzekł uprzejmie. — Ale czas mija, a ja mam wiele jeszcze do załatwienia do wieczora. Powrócę jeszcze i pomówimy o tem wszystkiem.

— Kiedy pan zechce.

— I gdyby się pani coś nowego dowiedziała o tym Szymonie, lub Gilbercie...

— To powiadomię pana — dokończyła żywo pani Langlois. — Niech pan będzie spokojny!

Cypryan Leduc wyszedł zadowolony, ale dnia tego nie powrócił na ulicę Romainville. To, czego dowiedział się od dozorczyni domu, zainteresowało go silnie i długo w nocy rozmyślał, kto być mogła ta młoda kobieta, dopytująca się o Szymona i zajmująca się losem małej Gilberty.

X.

Upłynęło dni kilka. Pewnego dnia pułkownik Robert wyszedł o godzinie dziesiątej rano z Grand-Hotelu, gdzie zatrzymał się jeszcze, wsiadł do doróżki i kazał się zawieźć na ulicę Montmartre. Na ulicy tej znajdował się dom duży, mieszczący się w ogrodzie, dzielący się na kilka obszernych i widnych sal. Dom ten był znaną w mieście szkołą fechtunku, do której uczęszczali młodzi ludzie, należący do najarystokratyczniejszych rodzin.

Kierownikiem tej szkoły był profesor X., osobistość posiadającą rozległą sławę i szacunek ogólny. Kiedy pojedynek jaki miał mieć miejsce, nie zdarzyło się nigdy, aby nie korzystano z jego doświadczenia i mistrzowskiej rutyny. Umiał on znaleźć słowa wzbudzające odwagę w młodych debiutantach, niepewnych jeszcze swojej ręki i siły — i radę, której ulegali chętnie ludzie już dojrzali i doświadczeni. Nie był właściwie profesorem, ale przyjacielem swoich uczniów, którzy prawie bez wyjątku, nazywali go krótko „panem Augustem".

W dniu tym znajdowało się około piętnastu osób w jednej ze sal, jasnej i obszernej. Byli to po największej części młodzi ludzie, pomiędzy którymi trzech poważniejszego wieku i wyglądu. Niektórzy mieli twarze zakryte maskami i z floretami w rękach oddawali się systematycznym ćwiczeniom — inni znowu pod okiem „pana Augusta" wprawiali się w strzelaniu do celu. Kilku zaś rozmawiało na uboczu, przyglądając się towarzyszom.

Pomiędzy tymi ostatnimi znajdował się baron Bonnet d'Esclairs, który wiódł bardzo szerokie życie w Paryżu, chociaż nie wiedziano zupełnie, skąd czerpie środki potrzebne do tego i Jerzy Bertout, przyjaciel jego, chłopiec dosyć poważny, zajmujący tymczasowe stanowisko adwokata spraw kryminalnych.

Rozmowa pomiędzy tymi młodymi ludźmi, tocząca się koło przedmiotów dosyć banalnych, stawała się coraz bardziej monotonną, kiedy w drzwiach sali ukazał się gość nowy. Był to pułkownik Robert. Nikt go tu nie znał i nie widziano go nigdy w szkole pana Augusta, to też z wielkiem zaciekawieniem obecni spojrzeli na nowego przybysza.

Pułkownik Robert przedstawiał się doskonale — ubrany był bez zarzutu, z wyszukaną wytwornością, ruchy miał zręczne, chód śmiały. Pierwsze więc, wrażenie wypadło korzystnie i utwierdziło się jeszcze, kiedy dostrzeżono śmiałość jego spojrzenia i energię, malującą się na ogorzałej twarzy.

Pułkownik, nie czując się bynajmniej skrępowany licznemi spojrzeniami, skierowanemi w jego stronę, podszedł na środek sali i dostrzegłszy profesora, który wystąpił na jego spotkanie, skłonił się mu lekko, lecz grzecznie.

— Pan August? — zapytał krótko.

— Do usług pana.

— Poznałem kilku uczniów pana, podczas pobytu mojego w Indyach i chciałem bardzo zapoznać się z panem — oświadczył z prostotą.

— Jestem do usług pana — powtórzył pan August.

— Oto mój bilet wizytowy — ciągnął dalej pułkownik. — Kiedy powracałem z Bombay do Europy, strzelałem dosyć dobrze, ale podróżowałem dosyć dużo od tego czasu i straciłem wprawę tak co do strzelania, jak i władania bronią.

— Czy chce pan spróbować? — zapytał uprzejmie pan August.

— W tym celu właśnie przychodzę!

— A więc, panie pułkowniku, służę panu, niech tylko pan sobie dogodną broń wybierze!

Pułkownik Robert podszedł natychmiast do ściany, na której wisiały szpady i florety różnego gatunku, wybrał jeden z nich i powrócił do profesora.

Podobne wydarzenie mogło obudzić zainteresowanie i ciekawość zebranych. Wszyscy porzucili swoje ćwiczenia i skupili się w jednej części sali w oczekiwaniu gorączkowem.

Szermierka rozpoczęła się. Obydwaj przeciwnicy, po formalnościach odbytych, skrzyżowali szpady. Głębokie milczenie zaległo grupę, przyglądającą się, tak, jak gdyby chodziło o prawdziwy pojedynek i po pierwszych ruchach już można było spostrzedz, że profesor miał przed sobą godnego siebie przeciwnika.

Walka trwała dwie lub trzy minuty, utrzymując się w równych szansach dla stron obydwóch, poczem, ku zdziwieniu obecnych, pan August dotknął lekko końcem szpady batystowej koszuli pułkownika, który natychmiast opuścił swoją broń ruchem, pełnym galanteryi.

— Dotknięty! Zostałem dotknięty — zawołał, uśmiechając się. — Miałem słuszność, mówiąc panu, że nie jestem teraz pewny swojej ręki. Muszę wziąć kilka lekcyi od pana, aby powrócić do dawnej wprawy.

Mówiąc to, pułkownik Robert oddał szpadę swoją chłopcu posługującemu i poszedł włożyć ubranie.

Jednakże profesor pozostał na placu zamyślony i zmieszany cokolwiek, obserwując swojego przeciwnika uważnie. To, co się stało, nie wydało mu się naturalnem i nie wątpił, że pułkownik dobrowolnie dał się pokonać. Ale dlaczego? W jakim celu? Napróżno pan August silił się, aby wytłumaczyć sobie tę tajemnicę. Był tak zamyślony, że nie zauważył nadejścia pułkownika. Dopiero, kiedy ten dotknął jego ramienia, profesor drgnął i oprzytomniał.

— Dziękuję panu za tę pierwszą lekcyę — wyrzekł uprzejmie — i do jutra, jeżeli to panu nie przeszkodzi w niczem.

— Tak, do jutra — wyszeptał pan August, nie mogąc jeszcze opanować zdumienia.

Pułkownik Robert miał już skierować się do wyjścia, kiedy zauważył ciekawe spojrzenia pozostających szermierzy. W niektórych wyczytać było można szczerą sympatyę dla tego człowieka, który się okazał tak świetnym w władaniu bronią, dawno już nieużywaną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Amnestya polityczna w Austryi.

„Wiener Zeitung“ ogłosiła następujące pismo odręczne Cesarza:

„Kochany panie Seidler!

Mam niewzruszoną wolę wykonywać poruczone mi przez Boską Opatrzność prawa i obowiązki w ten sposób, bym stworzył podstawy dla pomyślnego i błogosławionego rozwoju wszystkich mych ludów.

Politykę nienawiści i odwetu, żywioną niejasnymi stosunkami, które stworzyła wojna światowa, po ukończeniu tej wojny trzeba będzie wśród wszelkich okoliczności i wszędzie zastąpić polityką pojednania. Ten sam duch musi panować także wewnątrz państwa. Chodzi o to, by odważnie i wyrozumiale zadowolić przez wzajemne ustępstwa życzenia narodów. W tym duchu pojednawczości, przy potężnej pomocy Bożej, pragnę wypełniać obowiązki panującego i pragnę, jako pierwszy, który wstępuje na drogę łagodnego przebaczenia, rzucić zasłonę zapomnienia na wszystkie te ubolewania godne zboczenia polityczne, które przed wojną i w czasie wojny się wydarzyły, a które doprowadziły do procesów karnosądowych.

Darowuję kary osobom, które przez sądy cywilne lub wojskowe skazane zostały za następujące czyny karne z dziedziny cywilnej:

Zdrada stanu (§ 58 do 62 ustawy karnej), obraza członków domu cesarskiego (64), zamącenie spokoju publicznego (§ 65), powstanie (§ 68 do 72), rokosz (§ 73 do 75), gwałtowne wystąpienie przeciw wysłannikowi rządowemu na zgromadzenie, obrażające nad publicznemi sprawami. przeciw sądowi lub też innej władzy publicznej (76, 77. 80), karygodne czynności według artykułu I, II, IX ustawy z 17. grudnia 1862. Dz. u. p. Nr. 8 z roku 1863, pomoc dla zbrodni powyżej wymienionych (§ 211 i do 219 ustawy karnej).

Jeżeli skazanie nastąpiło nie tylko z powodu wyżej wymienionych karygodnych czynności, to pragnę znieść karę, jeżeli inne karygodne czynności albo stosunkowo są mało znaczne, lub też mają przeważnie charakter polityczny.

Jeżeli postępowanie karne nie jest jeszcze prawomocnie ukończone, to zarządzam wstrzymanie i przerwanie postępowania, które wytoczono tylko z powodu wyż wymienionych karygodnych czynności.

Z pod tej łaski natomiast wyjęte być mają wszystkie osoby, które uchyliły się od pościgu przez ucieczkę za granicę, przeszły do nieprzyjaciela, lub po wybuchu wojny nie wróciły do monarchii.

Równocześnie z karą znoszę siłę ustawowych przepisów, jako następstwo skazania, to jest niemożność osiągania pewnych praw, stanowisk, jakoteż utratę prawa wyborczego i wybieralności do ciał publicznych.

Spodziewam się na pewne, że wszystkie moje ludy, idąc za tym przykładem, że zwłaszcza Niemcy i ich przedstawiciele, przez stanowisko, pełne miary i odpowiadające interesom państwa, stanowisko, które ku memu żywemu zadowoleniu także przy ostatnich obradach parlamentarnych zadokumentowali, znajdą się przy wspólnej pracy około rozwiązania tych wszystkich zadań, które nas czekają, aby zagłodzić rany, zadane przez wojnę.

Sądzę, że po obronie przed ostatnią ofenzywą na froncie południowo-zachodnim, dokonanej dzięki niewzruszonemu stanowisku moich walecznych żołnierzy, mojej wdzięczności dla wszechmocnej Opatrzności i dla moich ludów nie mogę dać lepszego wyrazu, jak właśnie przez ten akt łaski.

Wybieram po temu dzień dzisiejszy, w którym mój serdecznie ukochany syn, którym mnie łaska Boża obdarzyła, obchodzi uroczystość swego świętego Patrona.

Tak ręka dziecka, powołanego do kierowania kiedyś losami moich ludów. wprowadzi zbłąkanych z powrotem do ojczyzny.

Laxenburg, 2 lipca 1917.

Karol m. p.“

Ogłoszenie amnestyi wywołało w całej Austryi olbrzymie wrażenie. Gdy prezydent ministrów w komisyi sprawiedliwości złożył oświadczenie o akcie amnestyi cesarskiej, Polacy. Czesi i socyaliści powstali z miejsc i głośno dali wyraz swej radości.

Wogóle w słowiańskich kołach politycznych wiadomość o amnestyi wywołała ogromne zadowolenie. Koła te przypisują aktowi cesarskiemu wielkie znaczenie polityczne, które nie pozostanie bez wpływu na uregulowanie stosunków wewnętrznych w państwie, zwłaszcza zaś na stosunki w parlamencie.

Memoryał senatu Uniwersytetu warszawskiego do gen. Beselera.

Senat akademicki Uniwersytetu warszawskiego wystosował do generał gubernatora Beselera memoryał, w którym bierze w obronę młodzież uniwersytecką i wyjaśnia własne stanowisko wobec akcyi politycznej młodzieży.

Memoryał rzuca poważny snop światła na stosunki polityczne Polski. Senat przypomina, iż gen. Beseler użył wobec senatu słów „politische Umtriebe“ na określenie ruchu wśród młodzieży. „My, którzy znamy tę młodzież zbliska i widzimy ją co dnia — mówi memoryał — musimy ją wziąć w obronę. Nie zaprzeczamy faktom oczywistym, ale musimy osłonić młodzież od zarzutu najcięższego“.

Memoryał mówi dalej:

„Młodzież nasza nie jest rozpolitykowana, ale młodzież ta teraz od dnia 5. listopada jest przesiąknięta troskami politycznemi i reaguje na nie w sposób zresztą sobie tylko właściwy, niedoświadczony, odruchowy, jak wszelka młodzież świata. Wasza Ekscellencya wspominał z łagodną pobłażliwością o młodzieży niemieckiej 1848 roku. Niech nam wolno wspomnieć o słuchaczach Fichtego, o członkach „Tugendbundu“, o zwolennikach Jahna, o uczniach uniwersytetu wrocławskiego w r. 1813 i o ciężkiej trosce, z jaką niejednokrotnie spoglądał na to, co się wśród młodzieży dzieje, rząd króla Fryderyka Wilhelma III.

Postawiona w obliczu zagadnień, dla siebie zupełnie nowych, odczuwa młodzież nasza to wszystko, co się dzieje w życiu naszem w sposób może gorętszy, może mniej dojrzały i bardziej bezpośredni, wyobrażając sobie, iż i ona powołana jest do zabierania głosu w sprawach publicznych. Skąd więc ma rozróżniać, kiedy jej mówić wolno, a kiedy milczeć należy, jak poradzić sobie w owym niesłychanym splocie trudności, które powstały od pamiętnej daty 5. listopada?

Od owej chwili, a zwłaszcza od stycznia roku bieżącego, wypadki nie potoczyły się normalną koleją, a po zapowiedzi nie przyszła realizacya, w którą wierzono, z którą wiązano nadzieję, na którą czekano. Po zapowiedziach ani natychmiast, ani długo po tem nie przyszły fakty stanowcze, a jeżeli przychodziły zmiany, to powolne nader, często połowiczne, dla zwykłego oka niezrozumiałe.“

Memoryał następnie omawia sytuacyę, która zrodziła się na tem podłożu i kończy się w następujący sposób:

„Władze uniwersyteckie, postawione między dążeniem uprawnionem, między staraniem o objęcie szkolnictwa przez władze polskie, które i Wasza Ekscellencya stawia obecnie za sprawę zupełnie przygotowaną, a nieskoordynowanym i przeciwnym dyscyplinie szkolnej ruchem młodzieży, władze akademickie nie mogły stosować dawnych, na moralnym wpływie opartych metod przekonywania, a nie posiadały możności zastosowania środków surowych, bo nie miały egzekutywy, jaką daje pewność oparcia o własne władze zwierzchnie; nie mogły opanować ruchu i nie mogły przeciwstawić mu tamy, jaką widziały w natychmiastowem objęciu szkolnictwa przez społeczeństwo polskie, choć żywiły i żywią głębokie przeświadczenie, że ruch natychmiastowo i bezwzględnie zostanie przełamany, a młodzież powróci do normalnego życia w razie istotnego wykonania zapowiedzi Waszej Ekscellencyi co do przekazania szkolnictwa władzom polskim.“

Następują podpisy:

J. Brudziński, rektor, J. Wierusz-Kowalski, prorektor, A. Parczewski, dziekan wydziału prawa i nauk państwowych, L. Kryński, dziekan wydziału lekarskiego, J. Łukasiewicz, dziekan wydziału filozoficznego.

O armię polską we Francyi.

W jednym z poprzednich numerów podaliśmy krótką wiadomość o niefortunnym pomyśle tworzenia armii polskiej we Francyi. W sprawie tej „Wiadomości Polskie“ przynoszą obecnie następujące szczegóły:

„W drugiej połowie maja b. r. prasa francuska wszelkich odcieni przynosiła coraz częstsze notatki i artykuły o utworzeniu armii polskiej we Francyi, którą rozmaicie nazywano. Podobne artykuły pojawiły się następnie w prasie belgijskiej i włoskiej. Inicyatywa i agitacya w tej sprawie wyszła ze strony polskich zwolenników koalicyi, a prowadziło ją przedewszystkiem paryskie pismo *Polonia*, gdzie pojawiły się na ten temat gorące artykuły, podchwytywane przez prasę francuską. Pod wpływem tej agitacyi już dnia 4 czerwca b. r. prezydent ministrów Ribot i Painlevé, minister wojny, wystosowali do Poincarégo następujące pismo:

„Liczba Polaków, stojących w walce po stronie prawa i wolności narodów, lub też skłonnych do wstąpienia w służbę sprawy koalicyi, jest dość wielka, ażeby złączenie ich w osobny korpus było uzasadnione. Z drugiej strony intencye rządów sprzymierzonych, zwłaszcza prowizorycznego rządu rosyjskiego, w stosunku do odbudowy państwa polskiego nie mogą być lepiej potwierdzone, jak przez pozwolenie, ażeby Polacy walczyli wszędzie pod swoimi sztandarami narodowymi. Wkońcu uznajemy, że Francyi powinno należeć na zaszczycie współdziałania przy formowaniu i rozwijaniu przyszłej armii polskiej. Nici pokrewieństwa, które łączą na sze dwie rasy i uczucia przyjaźni, które dla naszego kraju Polacy bezustannie dokumentują, nakładają na nas moralny obowiązek współuczestnictwa w tej pociągającej i chlubnej misyi“.

Poincaré przychylił się do tej propozycyi i (według *Tempsa* z 6. VI) dnia 5. czerwca pojawił się w *Journal Officiel* dekret prezydenta republiki, tworzący we Francyi na czas trwania wojny armię polską.

Dekret ten brzmi:

„Art. 1. Tworzy się we Francyi, na czas trwania wojny, armię polską autonomiczną, poddaną pod rozkazy naczelnej komendy francuskiej, a walczącą pod sztandarem polskim.

Art. 2. Wystawienie i utrzymanie armii polskiej zapewnia rząd francuski.

Art. 3. W armii polskiej mają zastosowanie wszelkie przepisy armii francuskiej, tyczące się organizacyi, zwierzchnictwa, administracyi i sądownictwa wojskowego.

Art. 4. Armia polska rekrutuje się: 1-o z Polaków, służących obecnie w armii francuskiej. 2-o z Polaków innego pochodzenia, dopuszczonych do przejścia w szeregi armii polskiej w Francyi lub do zawarcia dobrowolnej umowy na czas trwania wojny na rzecz armii polskiej.“

Polonia (Nr. 22 z 12. czerwca) poświęciła temu aktowi cały numer. Donosi tam między innemi o utworzeniu „misyi francusko polskiej“ w Paryżu dla organizowania przyszłej armii polskiej z jenerałem Archinard na czele. Adjutantem został podpułkownik Mokiejewski. oficer francuski, Polak. Według informacyi innych pism, sprawa armii polskiej była już dawno przygotowana. Złożą się na nią dotychczasowi ochotnicy polscy, już walczący w kadrach francuskich, nowi ochotnicy i zwłaszcza Polacy z Ameryki. Pisma francuskie spodziewają się na początek 60.000 ludzi, a później więcej.

Polonia w Nr. 21 z 26. maja podaje następujące charakterystyczne argumenty: „Pojawienie się na dwóch frontach, wschodnim i zachodnim, polskich pułków w narodowym mundurze, pod komendą polską oficerów Polaków, wywrze silne wrażenie na Polakach, walczących w szeregach niemieckich i austryackich. Stworzenie armii polskiej zada cios ostateczny wszystkim projektom niemieckim, tyczącym się Polski, a między innymi zamiarom stworzenia przy pomocy Rady Stanu armii polskiej, przeznaczonej do walki przeciw Rosyi. Będzie to rozczarowaniem dla Niemców i pociągnie prawdopodobnie zmianę ich polityki w Królestwie Polskiem, to znaczy cofnięcie całkowite lub częściowe danych przez nich koncesyi i być może nawet zastosowanie represyi i stanu oblężenia wobec „niewdzięcznych Polaków“. Nowe klęski spadną na nasz kraj, lecz my mamy silną pewność i głębokie przekonanie, że Polska będzie umiała znieść je z siłą i odporem ze względu na cel ostateczny, do którego cała energia narodu zdąża“.

Kronika tygodniowa.

Jeżeli sądzisz Czytelniku i nadobna Czytelniczko, iż kronika niniejsza będzie może weselszą, niż poprzednie, to się grubo mylisz! Jestem nad wyraz melancholijnie usposobiony, wszystko przedstawia mi się w najczarniejszych kolorach. W tą bezdeń smutku i rozpaczy nie wpędziły mnie jednak bynajmniej owe centrale, o których pisałem w poprzednich kronikach, ani kulejąca skutkiem nich aprowizacya, nie przyczynił się do tego nawet brak tytoniu i cygar, który w ostatnich dwu tygodniach wystąpił z ogromnem nasileniem (powodem słaby zbiór liści burakowych i kasztanowych), powodem wyłącznym i jedynym była moja zacna Weronika, która, za ostatnią, zbyt może złośliwą wzmiankę o tak zwanych „wojennych wdowach“, wypowiedziała mi małżeńskie posłuszeństwo i zabrała się do mnie z taką energią, na jaką tylko ona zdobyć się potrafi.

W pierwszym więc rzędzie podyktowała mi areszt domowy aż do odwołania, zaostrzony chodzeniem w pantoflach, gdyż trzewiki, ze względu rzekomo na oszczędność, powędrowały pod klucz do szafy, odnośny numer *Nowości illustrowanych* spaliła ostentacyjnie, zwłaszcza, że brakło innej podpałki, oświadczając kategorycznie, iż o przywróceniu do dawnych łask i przywilejów nie mogę ani myśleć, dopóki tych bezeceństw publicznie nie odwołam i nie odbędę należytej pokuty.

Wobec tego nie mogłem osobiście obserwować całkowitego zaćmienia księżyca, które przypadło na noc z czwartego na piątego lipca i, według zapewnień dzienników, miało przebieg zupełnie normalny, ściśle według zapowiedzianego z góry programu. Moje okna wychodzą, jakby na złość, w tę stronę świata, gdzie w tym czasie księżyc się nie pokazuje, zmuszony więc jestem, na odpowiedzialność astronomicznego sprawozdawcy *Kuryerka,* powtórzyć, iż o godzinie dziewiątej minut pięćdziesiąt dwie, według letniego czasu, zaprowadzonego widocznie i w niebiesiech, zaćmiły się wolno gęstym cieniem wschodnie okolice księżyca, potem cały wstąpił w cień naszej ziemi, a po dwunastej wylazł znowu, aby po pierwszej jaśnieć już pełnym, choć pożyczanym blaskiem na naszym nieboskłonie. Niezwykłemu temu zjawisku przyglądały się we wszystkich punktach miasta grupki ciekawych. Zwłaszcza obserwatorya Esplanady, Bisanza, Drobnera i Noworolskiego były silnie obsadzone przez astronomów obojga płci, którzy podobno poczynili liczne i bardzo ciekawe spostrzeżenia. Między obserwującymi zauważono też wielu słomianych wdowców, a nawet prawdziwych małżonków w służbie czynnej, którzy jednak z lepszemi swemi połowami nie mieli zajść domowych, tak, jak niżej nie podpisany, siedzący tymczasem w domu i wyczekujący, czy mu się księżyc pokaże, czy nie.

W ostatniej chwili rozeszła się wiadomość, jak się później okazało, mylna, iż zarząd miasta poczynił, gdzie należy, kroki, by zaćmienie, ze względu na bardzo i tak liche oświetlenie miasta porą nocną, albo zupełnie wstrzymano, albo też odłożono na lepsze czasy.

Wiele osób, przeważnie parami, pospieszyło też na Błonia, gdzie w obserwacyach nikt im nie przeszkadzał.

Aczkolwiek jestem człowiekiem spokojnym i chętnie władzy, zwłaszcza domowej, ulegającym, ów areszt domowy, zwłaszcza w tak ważnej chwili, ogromnie mnie zirytował, starałem się też o jego uchylenie, ewentualnie bodaj o przerwę na noc ową. Spotkałem się z odmową kategoryczną, co mnie doprowadziło już do prawdziwie szewskiej pasyi. Oświadczyłem Weronisi, iż pokażę jej, jako jestem mężczyzną, więc postawię na swojem, ale ona uśmiechnęła się tylko jakoś złośliwie i zrobiła w mą stronę tak zwane „perskie oko“...

— Jeśli tak — zawołałem do ostateczności wzburzony — to zapowiadam ci, że jutro rano wnoszę skargę do Sądu karnego z powodu ograniczenia mej osobistej wolności, na czem nanka poniosła nieobliczalne straty, równocześnie zaś rozpoczynam starania o rozwód, gdyż z takim potworem nie mogę żyć pod jednym dachem!

— Aha!... — odpowiedziała, biorąc się pod boki. — Pewnie panu wpadła w oko jaka „wojenna wdówka“, więc chciałby się pozbyć swej prawnie poślubionej małżonki. Ale prędzej mi tutaj... o, tutaj — w tem miejscu pokazała dłoń — wyrosną włosy, niż na to pozwolę!

— Już ja cię o pozwolenie nie będę pytał!

— Teraz zresztą moratoryum, więc wszelkie starania na nic!

— Ja się postaram, że moratoryum dyabli wezmą!... Pójdę zaraz jutro do swojego adwokata, a on poruszy niebo i ziemię, by mnie uwolnić od tej ciągłej udręki!

— A idź sobie, ale w pantoflach, bo ja trzewików nie dam!

— Pójdę, choćby boso, niech cały świat wie, co ja z tobą wycierpieć muszę! Racyę miał, kto powiedział, iż lata małżeństwa powinny być liczone podwójnie, na równi z latami wojennymi!

— Dobrze! Ty pójdziesz do adwokata, ale i ja nie myślę zasypiać gruszek w popiele!... I ja pójdę też i wniosę skargę na ciebie, że w tych krytycznych czasach działasz na niekorzyść państwa!... Ciągle się słyszy i czyta nawoływania, aby każdy, wedle swych sił i możności, przyczynił się do odbudowy kraju, dostarczenia armii rekruta i tym podobnych świadczeń, do których każdy uczciwy obywatel jest moralnie zobowiązany, a tobie się zachciewa burzyć dach rodzinny i gasić domowe ognisko?... Dobrze, gaś sobie, ale ja ci powiadam, że postaram się, byś przyszedł do zastanowienia, choćby na „odcinku włoskim“ przy ulicy Montelupich, jako społeczny szkodnik, siejący zły przykład!...

Na tem urwała, odwróciła się w mą stronę tylnym frontem i majestatycznie skierowała się w stronę kuchni, skąd dochodził miły swąd jakiejś spalenizny.

Mój artykuł o wojennych wdowach uległ strasznemu *autodafe,* ale też sprawczynię spotkała za to zasłużona kara, gdyż przypaliła się pieczeń wieprzowa, którą wprawdzie musiałem zjeść, ale przynajmniej nikt mi nie wypominał, że i w tym wypadku ja winę ponoszę. Reszta żółci wylaną została na służącą. Z poza drzwi kuchennych dolatywały mnie poszczególne słowa w guście: „gamoniu!“... „wałkoniu!“... i tym podobne, powoli wszystko się uspokoiło i powróciło na swe dawne tory, zwłaszcza, że i ja wybiłem sobie z głowy ową myśl rozwodu, choćby tylko ze względu na czas zupełnie nieodpowiedni. Irytacya Weronisi, która jest z natury nieco popędliwą, może bardzo łatwo stać w związku przyczynowym z owemi plamami na słońcu i spowodowanym przez nie okresem katastrofalnym, mającym trwać aż do dwudziestego lipca. Czy zaś ma się do czynienia z trzęsieniem ziemi, czy też ze zwykłą awanturą małżeńską, to na jedno wychodzi, tak w tym bowiem, jak i owym wypadku latają w powietrzu różne przedmioty, służące do użytku domowego.

Jakże zresztą starać się teraz o rozwód, gdy właśnie ogół nawołuje się przy pomocy prasy do jak najliczniejszego wstępowania w jarzmo małżeńskie, a *Kuryerek,* w numerze z dnia 3. lipca, ogłasza nawet artykuł p. t. „Podatki na kawalerów w dawnych czasach“, co ma być dla nich z jednej strony zachętą, z drugiej zaś ostrzeżeniem, co czeka opornych, gdyby się nie kwapili w słodkie więzy Hymenu.

Kraj i ojczyzna wzywa!

Nasi podatkowi wynalazcy noszą się w istocie z myślą, by na kawalerów nałożyć specyalny podatek, którzy im obrzydził „samożyjstwo“, rozpoczęli też szperanie po aktach i dowiedzieli się, że coś podobnego miało już miejsce i to w wieku dwudziestym przed Chrystusem.

Także w Rzymie, już w czasach po Chrystusie, wydano przepis, iż każdy dwudziestopięcioletni mężczyzna i kobieta, która skończyła lat dwadzieścia, jeśli nie wstąpili w związki małżeńskie, ograniczeni będą w prawach dziedziczenia. Ale już wówczas — jak powiadają kroniki — starzy kawalerowie twierdzili całkiem zresztą słusznie, iż utrzymanie żony przez całe życie więcej kosztuje, niż zapłacenie jednorazowego podatku spadkowego, zwłaszcza, że w owym czasie o odkryciu Ameryki i tak zwanych „amerykańskich wujaszkach“ nikomu się nawet nie śniło!

Skoro to nie pomogło, próbowano środków ostrzejszych. Kawalerowie nie otrzymywali żadnych urzędów honorowych i najgorsze, bo ostatnie miejsca w teatrze. Ten sposób zmuszania zatwardziałych kawalerów do zmiękczenia serc i uczynienia ich podatnemi na wdzięki płci nadobnej, dziś, w wieku kina, nie mógłby znaleźć zastosowania, gdyż tam właśnie miejsca ostatnie są najlepsze, o honorowe zaś urzędy nikt się chyba nie ubija, każąc sobie płacić za wszystko i to bardzo słono. Natomiast żonaci polują za honorowymi urzędami, by mieć w domu wymówkę, że muszą iść na posiedzenie lub coś podobnego. Dlatego to w Krakowie, na każde miejsce tak zwanego „dziadowskiego radcy“ jest zawsze tylu kandydatów i to z reguły żonatych. — Mógłby kto myśleć, że Krakowianie to sami filantropi, którym tylko los opuszczonych wdów i sierót leży na sercu!

Bardziej surowymi były dla starszych kawalerów wieki średnie, zwłaszcza zaś okres po wojnie trzydziestoletniej, gdy również musiano przeciwdziałać ustawowo wyludnieniu Europy. W Saksonii stary kawaler (po ukończeniu pięćdziesięciu lat, trzech miesięcy i trzech dni żywota) stawał się niewłasnowolnym, w Alzacyi stawiano opornych pod pręgierz i obrzucano zgniłemi jajami, w Norymberdze konfiskowano część dochodów, następnie zaś osadzano o chlebie i wodzie w kozie, gdzie musiał taki biedak czekać, aż się serce odezwie. A wiadomo, że „serce nie sługa, nie zna, co to pany!...“ W Hanowerze golono każdego kawalera po ukończeniu czterdziestego pierwszego roku życia, co u nas również pozostać musiałoby bez skutku, gdyż kawalerowie nasi w tym wieku są przeważnie już łysi. Owa ustawa powiada dalej, iż takim „ogoleńcom“ nie wolno posiadać w gospodach potraw ani napojów, ani też sprzedawać nic na rynku. U nas możnaby, co najwyżej, gdyby już do tego przyjść miało, wstrzymać im wydawanie kart mącznych, chlebowych, cukrowych i tak dalej.

Najlepiej przecież urządziły się niewiasty w pewnej miejscowości w północno-amerykańskim stanie Oregon, przeprowadziły bowiem prawo, którego główny paragraf opiewał:

„Każdy mężczyzna bezżenny, osiedlający się w naszym obwodzie, musi ożenić się najpóźniej po trzech latach pobytu. Ktokolwiek po czasie przepisanym nie jest jeszcze zaręczony, zostaje wydalony z osady, lub powieszony“.

I to podobno pomogło. Uparty kawaler, nie chcąc wisieć na szubienicy, wolał się powiesić na szyi swej dozgonnej towarzyszki życia.

Tak mówi historya, nowoczesny przecież prawodawca, chcąc połączyć piękne z pożytecznem, będzie raczej za zaprowadzeniem starokawalerskiego podatku w gotówce i to podatku progresywnego, który co rok, w miarę trwania jego zatwardziałości, zwiększałby się o pewien procent. Ten sposób byłby najodpowiedniejszy, podaję go też uwadze panów posłów, na wypadek, gdyby podobny projekt znalazł się przypadkiem na porządku dziennym któregoś posiedzenia parlamentu. Kto ma córki na wydaniu, zwłaszcza przekwitające, ten pojawienie się nowej ustawy przyjmie z uznaniem i wdzięcznością dla inicyatorów.

Zdaje mi się jednak, że bez tego nowego prawa się obejdzie, gdyż kandydatów i kandydatek do stanu małżeńskiego mamy dość, jak to widać z ogłoszeń matrymonialnych w pismach codziennych. To tylko bieda, iż nie samo serce, ale głównie interes wchodzi tu w grę, czytamy bowiem:

„Kawaler, lat trzydzieści, fachowiec (ale w czem?), ożeni się z panną lub wdową o dobrych zaletach, któraby mogła dopomódz mu do otwarcia interesu“.

„Ożenię się z panną, lat dwadzieścia, o wykształceniu akademickiem, przystojną, umiejącą grać na fortepianie, z posagiem czterdzieści tysięcy koron, lub posiadającą mały folwark, ewentualnie własne kino“.

„Ożeni się wdowiec bezdzietny, lat 38, maszynista, z panną lub wdową, od lat 25—35. Majątek dla wspólnego dobra pożądany. Pierwszeństwo mają posiadaczki młynów wodnych i innych“.

„Emeryt rządowy, z wyższem, wszechstronnem, akademickiem wykształceniem, w sile wieku, wdowiec, zawrze znajomość i ożeni się z starszą, intelligentną panną, lub samoistną, bezdzietną wdową, która mu pomoże do uzyskania stosownej posady biurowej w mieście, lub na prowincyi. Panie, posiadające własny majątek lub przedsiębiorstwo, mają pierwszeństwo“.

Jak z tych czterech przykładów widać, kandydaci do stanu małżeńskiego, czy to w czynnej służbie będący, czy też emeryci, mają głównie interes na celu, gdy natomiast niewiasty zapatrują się na tą kwestyę ze stanowiska więcej idealnego, jak to widzimy z ogłoszenia:

„Starsza, brzydka panna, nie bez zalet jednak, poślubi intelligentnego, wykształconego, na wyższem stanowisku mężczyznę w wieku 30—60 lat. Kolejarze wykluczeni. Zgłoszenia poważne, uczciwe i nieanonimowe z fotografią pod „Krzak gorejący“...

„Krzak gorejący“ wymaga wprawdzie „wyższego stanowiska“ przyszłego swego męża, ale przynajmniej nie mówi wprost o kwestyi materyalnej. Dziwię się tylko, dlaczego nie lubi kolejarzy, oni mają przecież więcej, niż inni, „pociągów“!...

Kwintesencya z tego, że interes to rzecz pierwsza, miłość dopiero druga, że więc, wobec tego, ze względu na dobro państwa, należałoby małżeństwa upaństwowić (broń jednak Boże zakładać „Centrali małżeńskiej“!), to jest „mającym dobrą, a nieprzymuszoną wolę i postanowiony umysł“, wypłacać odpowiednie posagi z funduszów ogólnych, za kwitami bez stempla, a w ten sposób za jednym zamachem urwie się łeb hydrze i zapobiegnie spodziewanemu wyludnieniu kraju.

Zagadki do nagrody.

Okienko.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a	b	c
c			e			e
e			e			k
n	n	n	n	o	o	r
r			r			r
s			s			u
u	y	y	y	z	z	z

Znaczenie wyrazów: 1. Wiatr północny u Greków. 2. Inaczej założenie. 3 Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wy Swyc! Tato da wam babkę, gęś i rzeczy

Logogryf.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko i imię zmarłego niedawno pedagoga i literata polskiego.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ryba. 3. Przyrząd do wytwarzania prądu powietrza. 4. Naczynie krwionośne. 5. Góry w Grecyi 6. Gatunek czapli. 7. Spółgłoska. 8. Samogłoska. 9. Rzeka w Rosyi. 10. Zawód. 11. Narząd oddechowy niektórych zwierząt. 12 Zastanowienie się 13. Miasto w Bawaryi. 14 Przyrząd sportowy. 15. Naczelnik rządu w Chorwacyi. 16. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nie pieść zęby młodzi. Rano tę wzdy do...

Logogryf.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nam nazwisko ruskiego instrumentu muzycznego.

□ — — — —
— □ — — —
— — □ — —
— — — □ —
— — — — □
— — — □ —
— — □ — —
— □ — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Ptak drapieżny. 3. Rzeka w Rosyi. 4. Pierwiastek chemiczny. 5. Ptak domowy. 6 Czas jesienny. 7. Inaczej zeszyt. 8. Zgodne tony. 9. Jednostka natężenia prądu elektrycznego.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nie umocować Tesi! I nie!

Równanie.
Ułożył R. Belka, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć po tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem rownaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego dzieła.

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{2} + \frac{c}{3} + \frac{d}{2} = x.$$

$$\frac{e}{2} + \frac{f}{3} + \frac{g}{2} = y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Miasteczko w Wielkopolsce. b) Część uprzęży. c) Jenerał rosyjski. d) Tworzy się przy oraniu. e) Fabryka szkła. f) Kraj w Ameryce g) Rzeka w Indyach

Szarada.
Ułożył R. Belka, Kraków.

Pierwsza z czwartą jest w ziemi, rzecz to wszystkim znana,
I od początku świata wielce używana;
Drugie-trzecie w bieliźnie i starej odzieży
Zupełnemu zniszczeniu radzi, jak należy;
Druga-czwarta, gdy stała, gdy czas *czwarte-pierwsze,*
Usuwa w sklepie wszelkie targowanie;
Całość do smarowania w aptece dostanie,
Niech teraz, kto jest ciekaw, odgadnie te wiersze!

Zadanie do przestawienia.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Z larwą idzie nud. Gapę!

Bilety wizytowe.
Ułożył R. Belka, Kraków

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

NERO IWO WYZYNSKIJ.

IKAR H. CETT.

PROT E. T ZEGARREY.

ALI TENCZYN-SACKI

OMOWA OBRZYDOWSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *Dr. M. Maciszewskiego*: **Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej Polskiej.** Monografia historyczna.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 26.

Zadanie do przestawienia: Źle nabyte, marnieje.

Kwadrat magiczny:

D	y	s	k
y	a	i	r
s	i	ł	a
k	r	a	n

Zadanie do przestawienia: Kradzione, nie tuczy.

Grzebieniówka:

W	o	l	f	f	F	r	y	d	e	r	y	k
e		a		e		o		a		u		a
n		m		n		z		r		s		n
e		p		i		a		y		a		a
c		a		c		l		n		l		r
y		r		y		i		s		k		k
a		t		a		a		z		a		l

Szarada: Dobranoc!

Łamigłówka:

Pora
sowa
mowa
mops
mata
rama
nora
wiry
kret
stal
plik
ocet
tara
wola
kopa
tama
lody
Kola
wilk
teka

Zadanie do przestawienia: Prosta droga najlepsza.

Zadanie do przestawienia: Chłop śliwy rwie, a ino ich dwie.

Kwadrat magiczny:

S	o	k	r	a	t	e	s
O	r	i	s	t	a	n	o
K	a	s	p	e	r	e	k
R	o	z	h	o	w	o	r
A	n	t	o	n	i	n	a
T	a	n	t	a	l	i	t
E	g	e	j	s	k	i	e
S	o	k	r	a	t	e	s

Bilety wizytowe: Historyk. Cholewkarz. Magazynier. Podpułkownik. Pełnomocnik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, K. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M. Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, M. Winiarska Lwów, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, E Bogdalska Koropuż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, E. Winter Tarnów, J Scheitel i A. Groll Stryj, A. Bartosik Jaworzno, F Böhm Jaworzno. S Freilich Stryj, G Węgrzyn Lwów, B. Książek Miejsce Piastowe.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Winiarska, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Odbudowa kraju“. Zapowiedziany pierwszy zeszyt „Odbudowy kraju“, miesięcznika, poświęconego sprawom gospodarstwa narodowego, organu obywatelskiego Komitetu odbudowy wsi i miast w Krakowie, ukazał się świeżo za miesiąc czerwiec, obejmując niespełna 100 stronic druku.

Tem samem stało się zadość oddawna w społeczeństwie naszem odczutej potrzebie i żywionym pragnieniom poważnych kół obywatelskich i naukowych, pragnących powstania pisma bezpartyjnego, poświęconego gospodarczym problemom życia narodowego, ze specyalnem uwzględnieniem zagadnień odbudowy kraju.

Komitet odbudowy kraju powołał na naczelnego redaktora dra Leona Władysława Biegeleisena, Komitet redakcyjny tworzy komisya redakcyjna Komitetu obywatelskiego, powiększona o zaproszonych w tym celu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktorów Bujaka Franciszka, Krzyżanowskiego Adama i Górskiego Antoniego.

Na treść pierwszego zeszytu składają się następujące prace: Od Redakcyi, prof. dr. Alfred Halban: Rozwój gospodarczy a odbudowa, prof. dr. Adam Krzyżanowski: Państwowe koszta wojenne, dr. Stanisław Tomkowicz: Odbudowa, swojskość i kosmopolityzm, prof. dr Antoni Górski: Odbudowa Królestwa Polskiego po wojnach napoleońskich, Leon Władysław Biegeleisen: Uwagi o odbudowie, dr. Witold Lewicki: Wieś polska w czasie pokoju i jej gospodarcza odbudowa, doc. Bronisław Biegeleisen: Odbudowa kraju a zaopatrzenie gmin wiejskich we wodę, doc. dr. inż. Krause: Przemysł a odbudowa kraju, Antoni Chrząszczewski: Rozwój przemysłu rolnego w Polsce, jako jedno z zadań polskiej polityki agrarnej, dr. Maryan Stępowski: Odbudowa pracy oświatowej. Przegląd gospodarczy obejmuje: Odbudowa Królestwa Polskiego. Organizacya i program działalności Departamentu społecznego i Komisyi odbudowy kraju Tymczasowej Rady Stanu. Odbudowa Galicyi. Sprawozdanie z działalności Centrali dla gospodarczej odbudowy Galicyi. Z odbudowy Prus wschodnich i Belgii. Z działalności polskich instytucyi gospodarczych i społecznych. Następuje dział sprawozdawczy i kronika.

Treść zeszytu jest więc bardzo bogata, uwzględniając z jednej strony najważniejsze dziedziny życia gospodarczego na ziemiach polskich, z drugiej zaś strony zniszczone wojną dzielnice Polski. Forma zewnętrzna pisma przedstawia się bardzo korzystnie, a wobec wielkiego zainteresowania problemami ekonomicznymi jest uzasadniona nadzieja, iż społeczeństwo obdarzy nowo powstałą placówkę poparciem zarówno materyalnem, jak i moralnem.

Redakcya i Administracya mieści się w Instytucie ekonomicznym, Kraków, ul. Krowoderska L. 26. Nr. telefonu 1093. Skład główny w księgarni Krzyżanowskiego. Prenumeratę, wynoszącą rocznie 24 kor. półrocznie 12 kor., przyjmuje bezpośrednio Administracya „Odbudowy kraju“.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.